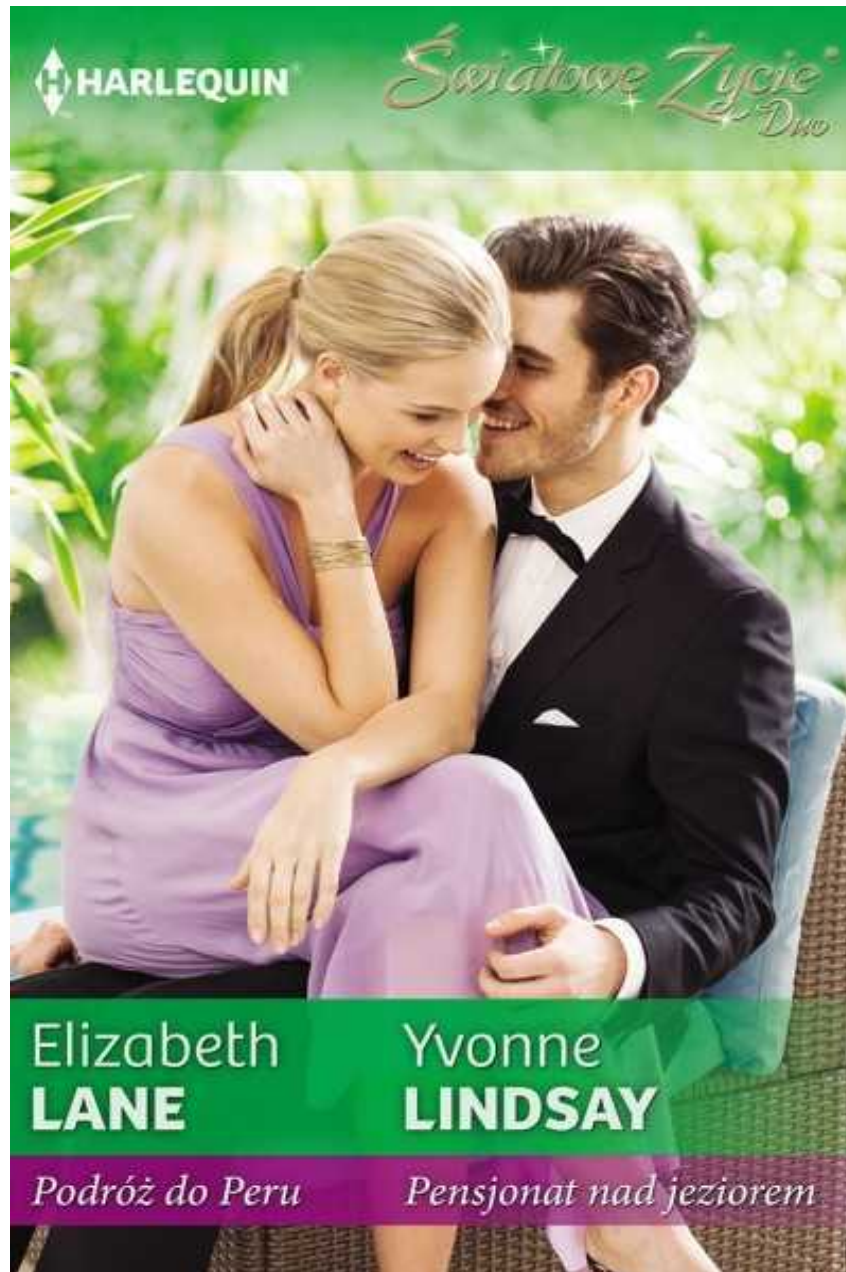


Elizabeth Lane



Podróż do Peru

ROZDZIAŁ PIERWSZY

21 stycznia, Urubamba, Peru

Emilio Santana oparł dłonie o gładki, chłodny blat z ciemnego mahoni. Biurko, potężne niczym transatlantyk, królowało w gabinecie rodzinnej rezydencji od ponad dwóch wieków. Przy nim siadywał jego ojciec, a wcześniej dziad, pradziad i prapradziad. I ojciec prapradziada. A także jego dziad. Siedem pokoleń Santanów zza tego biurka zarządzało rodzinnym majątkiem, który rozkwitał, mocno zakorzeniony w żyznej glebie szerokiej doliny, leżącej pomiędzy pasmami urwistych, niebosiężnych Andów.

Emilio urodził się tutaj, podobnie jak jego brat i siedem poprzednich pokoleń Santanów. W tej malowniczej krainie, pomiędzy łańcuchem gór a brzegiem oceanu, spędził beztrudne dzieciństwo. Potem wyjechał, bo ciągnął go wielki świat, ale wciąż tu wracał, zawsze z tym samym uczuciem czystej, dziecięcej radości i głęboko skrywanego wzruszenia. To był jego dom. Ale miejsce za ogromnym, mahoniowym biurkiem nigdy nie powinno było przyspać mu w udziale. Należało do jego starszego brata. Po śmierci ojca to Arturo, poważny, rzeczowy i metodyczny Arturo, został głową rodu. Przejął zarządzanie wielką posiadłością ziemską, która otrzymała swoją nazwę od rzeki, Rio Urubamba, toczącej leniwie swoje wody ku północy, by połączyć się z Rio Ucayali i stworzyć królową rzek - Amazonkę. A ponieważ majątek rodu Santanów nie ograniczał się do kawałka ziemi, Arturo stanął również na czele korporacji, której zarząd mieścił się w nowoczesnej, jeżącej się wieżowcami lśniącymi stalą i szkłem dzielnicy Limy. Przejął kontrolę nad portfolio międzynarodowych inwestycji i wszedł w swoją rolę z tak naturalną pewnością siebie, jakby się urodził, by zarządzać kapitałem wartym setki milionów. Bo też i tak właśnie było - Arturo, pierworodny syn, od dziecka przeznaczony został do tej roli. Emilio, jego młodszy brat, urodził się chyba głównie po to, żeby korzystać z życia. Jeździł konno, naprawdę nieźle tańczył tango i peruwiańską marinara, podróżował.

Aż pewnego dnia stało się coś, co nigdy nie powinno się wydarzyć. Wypadek na autostradzie, w porannej mgle. Ciężarówka, której szofer stracił panowanie nad kierownicą, nagle zatańczyła jak narowisty koń, ruszyła pędem na skos przez pasy ruchu, zepchnęła samochód Artura na pobocze i, jak twierdzili naoczni świadkowie, zgmiotła go niczym papierową zabawkę, niemal wbijając w filar wiaduktu. Pierworodny spośród Santanów w ułamku sekundy stracił życie. Został Emilio, ostatni z rodu - bo Santanowie, choć od pokoleń pomnażali swój majątek, sami nie mnożyli się zbyt licznie. Pozostałe gałęzie rodziny zanikły już w poprzednim stuleciu; nazwisko odziedziczone po hiszpańskim konkwistadorze, korzeniami sięgające wczesnego średniowiecza,

przetrwało tylko w Urubambie. I tutaj prawdopodobnie wygaśnie, pomyślał Emilio z ciężkim westchnieniem. Nie był gotów na to, żeby pojąć żonę i spłodzić dziedzica. Może nigdy nie będzie. Po prostu nie był stworzony do takiego życia. Dość, że musiał pogrzebać brata. Zdrętwiały z rozpacz, dławiony lodowatym, śmiertelnym gniewem na los i Boga, tkwił, w sztywnym, czarnym garniturze, za trumną przystrojoną stosami kwiatów, których jaskrawe kolory drażniły go prawie tak samo, jak zawodzący śpiew żałobników. Potem rzucił pierwszą garść ziemi w czeluść świeżo wykopanego grobu - dotąd nie mógł zapomnieć głuchego odgłosu, gdy wilgotna pecyna uderzyła w wieko trumny - i stał, oniemiały z bólu, machinalnie powtarzając podziękowania, i kiwając głową jak marionetka, kiedy składano mu kondolencje. Nie miał pojęcia, jak udało mu się przetrwać novenę - dziewięć długich wieczorów wypełnionych gryzącą wonią kopających zniczy i szmerem modlitw o pokój duszy nieboszczyka, powtarzanych półgłosem, miarowo i jednostajnie, tak samo jak przed wiekami. Może dlatego dotrwał do końca, że nie miał innego wyjścia. Południowoamerykański zwyczaj chciał, by w ten sposób żegnać bliskich zmarłych. Novena, dziewięć dni żałoby i modlitwy, towarzyszyła każdemu z Santanów, gdy przychodził jego czas, by udać się do lepszego świata.

Kiedy kwiaty na świeżym grobie przywiędły, a znicze pogasły, Emilio zrozumiał, że nieprędko wróci do dawnego beztróskiego życia. Co prawda, ród Santanów bliski był wygaśnięcia, ale ich inwestycje miały się dobrze. I wymagały uwagi. Trzeba było przejąć obowiązki Artura i stanąć u steru, chociażby po to, żeby wszyscy ludzie pracujący dla Santanów mogli w dalszym ciągu regularnie pobierać pensje. A było tych ludzi niemało - w Urubambie uprawiano winorośl i hodowano konie, biura w Limie, obsługujące międzynarodowe inwestycje deweloperskie, zatrudniały dziesiątki pracowników, a przedstawicielstwa korporacji, rozsiane po większych miastach obu Ameryk i Europy, liczyły setki etatów.

Zarówno ogromna posiadłość ziemska, jak i korporacja były przedsiębiorstwami rodzinnymi, więc, przynajmniej do czasu zmiany statutu, funkcję prezesa musiał pełnić ktoś noszący nazwisko Santana. Emilio nie miał wyboru. Dlatego właśnie, pierwszego dnia po zakończeniu noveny, już o siódmej rano zasiadł za wielkim, mahoniowym biurkiem i zaczął wertować dokumenty, które jego starszy brat pozostawił w absolutnym porządku, metodycznie poumieszczane w opatrzonych etykietami segregatorach. Papierów było zatrzęsienie, ale Emilia to nie przerażało. Księgi prowadzono wzorowo, raporty wykonywane były klarownie i logicznie. A on miał dyplom MBA. Studiował zarządzanie, bo tego życzył sobie jego ojciec, a potem starszy brat. Nie przejmował się zbytnio nauką, i był bardzo zdziwiony, kiedy okazało się, że jest najlepszym studentem na roku. Dyplom z wyróżnieniem schował na dno szuflady. Nie przypuszczał, by pogłębiona znajomość ekonomii i strategii

menedżerskich kiedykolwiek do czegoś miała mu się przydać. O wiele za bardzo lubił zajmować się hodowlą koni i dobrą zabawą.

A jednak. W życiu trzeba być przygotowanym na chwytaki poniżej pasa, pomyślał filozoficznie, przebiegając wzrokiem kolumny liczb. Przynajmniej tutaj wszystko się zgadzało. Sprawozdania finansowe, przychody i rozchody, ewidencja zatrudnienia, środki trwałe, analizy i prognozy. Liczby niosły jasny, prosty sens, układały się w logiczną strukturę. Zawsze się obawiał, że prowadzenie wielkiego biznesu okaże się koszmarnie nudną mordęgą. Tymczasem przekonywał się ze zdumieniem, że już samo zgłębianie danych liczbowych jest zajęciem fascynującym; coś jakby śledzić linie melodyczne koncertu na wielką orkiestrę, splatające się ze sobą w myśl finezyjnej kompozycji, a piękno ich czystej logiki budziło jego zachwyt.

Pochłonięty lekturą nie zauważył nawet, kiedy w ogromnym dzbanku z kawą, który kazał sobie przygotować o poranku, pojawiło się dno. Słońce zatoczyło świetlisty łuk ponad rozłożystym dachem rezydencji, a niebo na zachodzie zasnuło się już wieczorną, liliową mgłą, gdy, na dnie jednej z szuflad przepastnego biurka, natrafił na cienką teczkę opatrzoną napisem: „Sprawy osobiste”. W pierwszej chwili chciał odłożyć ją na bok. Arturo odszedł; wszystkie jego osobiste sprawy powinny spocząć w spokoju razem z nim. Potem jednak zdecydował się zajrzeć do środka. Teraz on był głową rodu Santanów, nawet jeśli ten ród miał wygasnąć wraz z jego śmiercią. Dopóki żył, musiał pełnić swoje obowiązki. A jeżeli brat zostawił po sobie jakieś niezłatwione sprawy, obowiązkiem Emilia było je uporządkować.

Teczka okazała się niemalże pusta. Na ciemny blat biurka wypadła koperta zaadresowana do Artura Santany, ze znaczkiem i stemplem pocztowym przystawionym w Tuscon w Arizonie, przed dziesięcioma miesiącami, oraz dwie kartki - najwyraźniej listy. Pierwszy z nich, wydrukowany na zwykłym, białym papierze, nosił podpis złożony pewną, lecz niewątpliwie kobiecą ręką. Emilio z wahaniem przeczytał kilka pierwszych linijek.

Tuscon, 10 marca

Szanowny Panie,

Piszę, żeby przekazać Panu bardzo smutną wiadomość. Moja przyrodnia siostra, Cassidy Miller, nie żyje. Odeszła pierwszego marca tego roku, przegrywając długą i wyczerpującą walkę z guzem mózgu...

Emilio poderwał głowę i gwałtownie nabrał powietrza, jakby właśnie dostał pięścią w splot słoneczny. Cassidy... nie żyła? Jak to możliwe? Jeszcze raz, powoli, przeczytał początek listu, łudząc się, że zaszła jakaś absurdalna pomyłka. Na pewno źle zrozumiał wiadomość. A może chodziło o zupełnie inną osobę o podobnym nazwisku? Niestety, już w następnej chwili nadzieja bezpowrotnie zgasła, zostawiając świadomość okrutnej prawdy - Cassidy,

prześliczna, jasnowłosa trzpiotka, która wydawała się uosobieniem radości życia, odeszła. Zabiła ją straszna, bezlitosna choroba. Emilio zamknął oczy, odetchnął głęboko. Nie. Nie potrafił się z tym pogodzić. Zbyt dobrze pamiętał ich pierwsze spotkanie. Cassidy przyleciała ze Stanów, żeby pozować do zdjęć w niesamowitych plenerach Cusco. A że szalone noce kochała niemal równie mocno, jak swoją pracę modelki, spotkali się pewnego piątkowego wieczora w znanym klubie, gdzie orkiestra grała tanga. Emilio od razu zwrócił uwagę na smukłą, długonogą blondynkę o jedwabistych włosach, inteligentnym spojrzeniu i szelmowskim uśmiechu. Poprosił ją do tańca, a ona zgodziła się z błyskiem w oczach, oświadczając przy tym mocno kulawą hiszpańszczyzną, że tanga nie tańczyła jeszcze nigdy w życiu. Trzeba temu jak najszybciej zaradzić, odparł i poprowadził ją na parkiet. Istotnie, o tangu nie miała bladego pojęcia, ale czuła muzykę i była pełna zapału, a potknięcia kwitowała wybuchami perlistego śmiechu. Z miejsca rozpoznał w niej bratnią duszę i można było powiedzieć bez przesady, że przetańczyli razem całą noc - jeśli nie liczyć momentów, kiedy raczyli się peruwiańskim pisco przy barze i rozmawiali, jakby znali się od lat. Cassidy przedstawiła go koleżankom, i jakoś tak wyszło, że zanim niebo nad miastem zaczęło jaśnieć, zaprosił pięć amerykańskich modelek, żeby spędziły weekend w Urubambie. Dziewczęta zgodziły się bez zastrzeżeń, może dlatego, że nazwisko Santana wzbudzało zaufanie, a może po prostu perspektywa niekończącej się imprezy w bajkowych ogrodach rezydencji, nad basenem wielkości małego jeziora, była zbyt kusząca, by ją odrzucić. Doskonale pamiętał chwilę, kiedy zajechali sześciodrzwiową limuzyną przed front rezydencji. Cassidy Miller, w zamszowych butach do kolan, złotej minisukience i kapeluszu z szerokim rondem, wyskoczyła z samochodu, gdy tylko zatrzymał się naprzeciw lśniącego rzędami półkoliście sklepionych okien, zwieńczonego rzeźbioną, typowo południowoamerykańską attyką budynku. Arturo Santana, ubrany w czarny garnitur, pojawił się na ozdobionym kolumnami, kamiennym ganku.

Cassidy spojrzała na Artura, Arturo spojrzał na Cassidy. I oboje przepadli. Gdyby ktoś zapytał Emilia, czy możliwa jest miłość pomiędzy sumiennym i pracowitym, wręcz pedantycznym mężczyzną a kobietą, która była przekonana, że życie to niekończąca się impreza, uśmiełby się do łez. A jednak. Kiedy szalony weekend dobiegł końca, Amerykanki wróciły do domu, ale Cassidy została w Urubambie. Odwołała wszystkie kontrakty na miesiąc naprzód. Świata nie widziała poza Arturem, a on dosłownie nosił ją na rękach. Emilio nigdy nie widział swojego starszego brata równie szczęśliwego. Sielanka trwała pięć tygodni, a potem Cassidy nagle spakowała się i wyjechała. Emilio zachodził w głowę, co mogło poróżnić zakochanych, ale nie miał odwagi wypytywać brata, ten zaś milczał jak grób. Minęło parę miesięcy i Emilio pogodził się z myślą, że historia Cassidy i Artura to zamknięty rozdział. Był przekonany, że już nigdy nie usłyszy o jasnowłosej Amerykance. Na pewno nie

spodziewał się, że dostanie wiadomość o jej śmierci.

Przetarł oczy, otrząsnął się ze wspomnień. Rzeczywistość, jakakolwiek ponura by była, wymagała, by stawić jej czoło. Zmusił się, żeby dokończyć czytanie listu.

Wyobrażam sobie, jak bardzo musiała zszokować Pana ta wiadomość. Nie kontaktowałam się z Panem wcześniej, bo Cassidy bardzo zdecydowanie prosiła mnie, żeby nie informować Pana o jej chorobie, nawet wtedy, gdy stan był już bardzo ciężki. Ale teraz, gdy siostra nie żyje, nie mogę dłużej milczeć. Uważam, że moim obowiązkiem jest poinformować Pana, że na kilka dni przed śmiercią, dokładnie dwudziestego szóstego lutego, Cassidy urodziła dziecko, zdrowego chłopca. Nie kryła przede mną, że w ciążę zaszła podczas pobytu w Peru, mam więc wszelkie powody, żeby wierzyć, że chłopiec jest pańskim synem.

Proszę mnie źle nie zrozumieć - nie piszę, żeby cokolwiek od Pana wyłudzić, nie zamierzam też dochodzić, w imieniu chłopca, praw do części pańskiego niemałego majątku. Małym Zakiem - takie imię nadała chłopcu jego mama - opiekuję się od pierwszych dni jego życia, bardzo go kocham i pragnę zająć się jego wychowaniem. Chciałabym jak najszybciej zacząć załatwiać formalności związane z adopcją, nie mogłabym jednak zrobić tego, utrzymując Pana w nieświadomości co do całej sprawy. Bardzo zależy mi na tym, żeby móc wychować Zaka jak własne dziecko, pozwalam więc sobie prosić Pana o zgodę na przeprowadzenie drogą sądową jego pełnego i nierozzerwalnego przysposobienia. Zaręczam, że otoczę chłopca miłością, a moja sytuacja życiowa pozwoli mi zapewnić mu optymalne warunki rozwoju.

Załączam moją wizytówkę i z góry dziękuję za odpowiedź.

Szczerze oddana

Grace Chandler

Emilio uniósł brwi, powoli pokręcił głową. I przeczytał list jeszcze raz. Wiadomość o śmierci Cassidy stanowiła bolesny cios, ale kolejna informacja, którą zawierał krótki list, była jak piorun z jasnego nieba. Arturo miał syna. Wiedział o tym od dawna, niemalże od dnia narodzin dziecka. I nie powiedział o tym ani słowa nikomu, nawet własnemu bratu. Co więcej, nie zrobił nic, żeby zyskać prawo do opieki nad chłopcem. Dlaczego postąpił w ten sposób?

Niecierpliwość mrowiła go w palcach, kiedy sięgał po kolejną zadrukowaną kartkę. Tak jak się spodziewał, była to kopia listu, który Arturo wysłał w odpowiedzi Grace Chandler.

Urubamba, 31 marca

Wielce szanowna Panno Chandler,

Przed wszystkim proszę przyjąć wyrazy szczerego współczucia z powodu

śmierci siostry. Zapewniam, że w żaden sposób nie będę utrudniał Pani starań o adopcję chłopca, którego osierociła, pod warunkiem, że uszanuje Pani moją prośbę, by nigdy więcej nie kontaktowała się Pani z rodziną Santanów, w imieniu własnym ani chłopca, zarówno w sprawach osobistych, jak i majątkowych. Nie życzę sobie żadnych kontaktów pomiędzy nami w przyszłości, tym bardziej że niebawem zamierzam zawrzeć związek małżeński i założyć rodzinę. Pojawienie się pozamałżeńskiego dziecka spowodowałoby komplikacje, których za wszelką cenę chciałbym uniknąć.

Jeśli odniesie się Pani ze zrozumieniem do mojej prośby, ja również nie będę czynił żadnych przeszkód, by mogła Pani spełnić swoje marzenie i adoptować małego Zaka.

Z wyrazami szacunku

Arturo Rafael Santana y Morales

Tylko tyle? Arturo w kilku oficjalnych, bezosobowych zdaniach zrzekł się syna, chłopca osieroconego przez matkę tuż po porodzie? To było niepojęte. Takiego postępku nie tłumaczył nawet fakt, że jego brat zawsze przedkładał interesy rodziny ponad własne sprawy. A w interesie rodziny leżał jego ożenek z Mercedes Villanuewą, córką i jedyną spadkobierczynią właściciela leżących w sąsiedztwie Urubamby ogromnych terenów rolniczych. Ale do ślubu nie doszło - jego termin wciąż był odsuwany, z najróżniejszych powodów. A potem nadszedł ten tragiczny, mglisty poranek na autostradzie, i okazało się, że na wszystko jest już za późno. Także na to, żeby spytać Artura, dlaczego odrzucił dziecko, które spłodził.

Emilio z westchnieniem opadł na oparcie fotela, w zamyśleniu popatrzył przez wielkie okno. Nad Andami powoli zapadała noc, pogrążając w mroku Świętą Dolinę Inków, z jej meandrującymi, doskonale równoległymi liniami wykutych w skale rolniczych tarasów, które schodziły w dół, ku życiodajnej rzece. W siedemnastym wieku król hiszpański Ferdynand, dokonawszy konkwisty Ameryki, osadził na tej ziemi swojego wiernego sługę i nieustraszonego rycerza, Miguela Santanę. Ten chętnie porzucił wojaczkę dla osiadłego życia dżentelmena farmera i przekonał się niebawem, że nawiązywanie pokojowych relacji z miejscową ludnością jest ze wszech miar korzystniejsze niż narzucanie supremacji przy użyciu siły, jak to mieli w zwyczaju najeźdźcy. Wzajemną przyjaźń przypieczętowało małżeństwo Miguela z urodziwą księżniczką inkaską. Santanowie wrosli w ziemię tej pięknej, choć surowej krainy – siedem pokoleń, których spuścizna zdawała się przygniatać ramiona Emilia siedemsettonowym ciężarem. Ostatni członek rodu. Wraz z nim umrze pięćsetletnia tradycja, pójdzie w zapomnienie rodzinna historia. Majątek ziemski pamiętający czasy konkwisty, pozbawiony dziedzica, przejdzie na skarb państwa. Czy mógł wziąć na siebie taką odpowiedzialność? Od śmierci Artura pytanie to dręczyło go niczym ciężka choroba.

List niejkiej Grace Chandler był jak niespodziewane, cudowne lekarstwo na chorobę, którą dotąd uznawał za nieuleczalną. Z uczuciem bliskim euforii poczuł, jak ciężar odpowiedzialności za przyszłość rodu spada z jego barków, pozostawiając go lekkim, niemalże nieważkim.

Nie był ostatnim z rodu Santanów!

Arturo zostawił po sobie potomka. Co z tego, że chłopiec pochodził z nieformalnego związku? Co z tego nawet, że jego ojciec - z powodów, których Emilio nie pojmował - literalnie wyrzekł się syna? Ten niespełna roczny chłopiec był całą nadzieją na przetrwanie rodu Santanów. Sytuacja wyglądała nieco inaczej przed dziesięcioma miesiącami, kiedy Arturo żył, planował poślubić Mercedes, założyć rodzinę, mieć dzieci. Kto wie, może zgodził się na adopcję małego Zaka ze względu na jego dobro? Ostatecznie, kim byłby pozamałżeński syn, gdyby Arturo doczekał się potomstwa z prawego łoża? Tak się jednak nie stało. Do ślubu nie doszło, Arturo nie żył. Syn Cassidy Miller był jedynym przedstawicielem najmłodszego pokolenia rodu Santanów i dziedzicem majątku wartego miliardy.

Emilio wiedział z całą pewnością, że nie ma takiej siły we wszechświecie, która powstrzymałaby go przed odnalezieniem dziecka, będącego jego najbliższym żyjącym krewnym. W żyłach Zaka płynęła krew Santanów. Jego miejsce było tutaj, w Urubambie. Pozostawało mu mieć nadzieję, że Grace Chandler to zrozumie. Podobnie jak jego przodek Miguel, Emilio wolał pokojową współpracę niż rozgrywkę przy użyciu siły. Chociaż w tej akurat sytuacji był pewien, że jeśli doszłoby do próby sił, byłby górą. Dysponował pieniędzmi i wpływami, o jakich przyrodniej siostrze Cassidy Miller nawet się śniło.

Dysponował również prywatnym odrzutowcem. Następnego ranka złoży niezapowiedzianą wizytę Grace Chandler.

Tuscon, Arizona

- Założę się, że teraz chętnie przekąsisz co nieco, mój zuchu! - Grace wyjęła Zaka z wózka do joggingu, posadziła go sobie na biodrze i w kilku energicznych susach wbiegła na ganek. Kiedy przekręcała klucz w zamku, malec dzikimi okrzykami dawał wyraz czystej radości życia i z całych sił starał się wyrwać na wolność. Raczkował już z wprawą komandosa i trawnik przed domem jawił mu się jako bajkowa kraina, gdzie czekały na niego fascynujące odkrycia i niezwykle przygody. Grace wzmocniła uścisk ramienia i uśmiechnęła się do własnych myśli. Jeśli Cassidy patrzy z góry na synka, którego nosiła pod sercem przez dziewięć długich i trudnych miesięcy i wydała na świat ogromnym wysiłkiem wycieńczonego chorobą organizmu, to ma powody do dumy. Chłopiec, który urodził się drobny i słabiutki, ale całkowicie zdrowy - bo jego matka zrezygnowała z leczenia śmiertelnej choroby, wiedząc, że chemioterapia jest niebezpieczna dla rozwijającego się płodu przez dziesięć

miesiące zmienił się nie do poznania. Nabrał siły, wyrósł na bystre, rezolutne i szczęśliwe dziecko. Aż przyjemnie było na niego popatrzeć. Policzki miał rumiane, a spod wiecznie nastroszonej, czarnej jak heban czupryny spoglądały ciekawie duże oczy o barwie gorzkiej czekolady, ocienione gęstymi wachlarzami rzęs. Mały Zak karnację odziedziczył po ojcu, peruwiańskim miliarderze, który zaskakująco łatwo zrzekł się praw do syna. Ale kiedy się uśmiechał, Grace widziała w nim Cassidy i wzruszenie chwytalo ją za gardło.

Cassidy. Jej młodsza przyrodnia siostrzyczka, którą opiekowała się od dnia, gdy ich rodzice zginęli, zostawiając je same na świecie. Jasnowłosa, wiecznie rozchichotana ślicznotka, która uważała, że życie to zabawa, nigdy niczego nie traktowała serio, nawet własnej ciężkiej choroby. Przed kilku laty Cassidy przeszła operację wycięcia guza i od tamtego czasu nowotwór był w remisji, zaś rekonwalescentka, zamiast żyć na pół gwizdka, w cieniu grożącego jej wyroku, rzuciła wyzwanie losowi. Wyhodowała grzywę włosów, poszła na casting i bez najmniejszego trudu zdobyła angaż w jednej z najsłynniejszych agencji modelek na świecie. Grace mogła się założyć, że nikomu z jej kolegów i koleżanek ze świata mody nie przyszło nawet na myśl, co skrywa wesoła, diabelnie fotogeniczna blondynka. Bo i nie mieli jak się domyślić - Cassidy wprost kipiała energią i radością życia. Spoważniała po powrocie z sesji zdjęciowej w Cusco. Grace znakomicie pamiętała dzień, w którym Cassidy, wzruszona i wyraźnie szczęśliwa, powiedziała jej, że spodziewa się dziecka. Potem przyszło osłabienie, nudności i bóle głowy. Nie dziwiła się temu - w końcu, czyż nie były to dolegliwości typowe dla odmiennego stanu? Niestety, szybko okazało się, że ich przyczyna leży gdzie indziej. Nowotwór powrócił, zaatakował podstępnie. Pojawiły się przerzuty. Onkolog powiedział otwarcie, że doradza przerwanie ciąży i natychmiastowe poddanie się agresywnej chemioterapii. Cassidy podziękowała za radę, ale nie miała najmniejszego zamiaru się do niej dostosować. Nie zamierzała poddawać się aborcji, więc bez chwili wahania odmówiła leczenia. Chciała urodzić dziecko i gotowa była zapłacić za to zdrowiem, a nawet życiem. Nie pozowała na bohaterkę i nie pozwoliła, żeby traktowano ją jak męczennicę. Pozostała sobą, nawet wtedy, kiedy choroba pozbawiła ją siły. Leżała w szpitalnym łóżku, blada, z ciemno podkrążonymi oczami, i wciąż się śmiała. Z miny, jaką robiła Grace na jej widok. Z dowcipu zasłyszanego od pielęgniarki. Albo po prostu z radości, kiedy oglądała nagranie USG, na którym jej synek machał rączkami, jakby w entuzjastycznym geście powitania. Widząc blask szczęścia w oczach śmiertelnie chorej siostry, Grace pojęła, że Cassidy kocha swoje dziecko tą samą, instynktowną i bezkompromisową miłością, jaką od zawsze kochała życie. Miłością, która sprawiała, że wszystko inne wydawało się bez znaczenia.

Chyba siłą tej miłości Cassidy przetrwała dziewięć miesięcy ciąży. A kiedy dziecko się urodziło i mogła wziąć je w ramiona, wydawało się, że nastąpi cud, i że ta miłość ją uzdrowi. Widząc radość siostry, która zdawała się nagle

odzyskiwać siły, Grace nie miała sumienia prosić jej, żeby podpisała oświadczenie dotyczące adopcji ze wskazaniem w razie jej śmierci. Kilka dni później okazało się, że cud jednak nie nastąpił. Cassidy nakarmiła synka i zasnęła, by więcej się nie obudzić. Grace wystąpiła o prawo do opieki nad Zakiem, zanim jeszcze pogrzebała siostrę. A potem rozpoczęła żmudne starania o adopcję. Załatwianie formalności wlokło się miesiącami, ale nareszcie można było dostrzec światelko w tunelu. Jeszcze parę tygodni, i Zak Miller stanie się oficjalnie jej synem. Jedynym dzieckiem, jakie kiedykolwiek będzie miała.

Z wierzgającym chłopcem na rękach weszła do kuchni. Po porannym spacerze Zak zawsze był głodny jak wilk, a kiedy zjadł drugie śniadanie, usypiał snem sprawiedliwego na dobre trzy godziny. Dla Grace był to bardzo cenny czas - mogła wtedy nastawić pranie, posprzątać, ugotować obiad. Jeśli miała wyjątkowe szczęście, udawało jej się nawet usiąść na chwilę do pracy.

Posadziła malca w foteliku i szybko umyła ręce nad zlewem. Po godzinnym joggingu z dziesięciokilowym malcem w wózku była zgrzana, ale prysznic musiał poczekać. Mały głodomór uderzał rytmicznie łapkami o blat stołu, coraz natarczywiej dopominając się jedzenia. Po chwili jego życzeniu stało się zadość. Przed chłopcem pojawił się talerzyk pełen apetycznych różności. Były tu różyczki brokułów, kawałki ugotowanej do miękkości marchewki, słodkich ziemniaków i młodych buraczków, pokrojone w drobną kostkę indycze mięso i cząstki soczystej brzoskwini.

Zak sprawnie chwycił paluszkami kawałek brokuła i wpakował sobie do buzi.

- Brawo! - Grace zaklaskała w dłonie. - Świetnie sobie ra...

Nie dokończyła. Chłopiec, szczerze uradowany odniesionym sukcesem, złapał kawałek marchewki. Niestety, zamiast włożyć go do ust, wykonał błyskawiczny zamach. Nie zdążyła się uchylić; pomarańczowy pocisk, wyrzucony z imponującą siłą, wylądował na środku jej czoła. Czarne oczy łypnęły szelmowsko spod rzęs, i malec zaniósł się perlistym śmiechem. Grace nie mogła mu nie zawtórować. Zak niedawno nauczył się sam jeść. Niestety, jednocześnie odkrył możliwość rzucania jedzeniem. Był w tym naprawdę dobry, i choć Grace tłumaczyła mu cierpliwie, że tak się nie robi, co rusz ulegał pokusie.

- Niezły zamach, mistrzu - uśmiechnęła się. - Ale do rzucania służy piłka, a nie drugie śniadanie! Po południu pobawimy się w ogródku. Jeśli chcesz zostać zawodowym bejsbolistą, musisz zacząć trenować od zaraz.

Kiedy wreszcie talerzyk został całkowicie opróżniony, kuchnia wyglądała tak, jakby szalał w niej nawiedzony malarz taszysta, zaś Grace i sam Zak mogli śmiało uchodzić za Indian w barwach wojennych. Pomarańczowe, bordowe i zielone smugi zdobiły nie tylko ich twarze, ale także włosy i ubrania. Grace pocieszała się, że większość posiłku trafiła jednak tam, gdzie powinna, chłopiec był najedzony i gotów do drzemki. Podniosła go i posadziła sobie na biodrze, a

on gestem pełnym szczerej czułości zarzucił lepkie od jedzenia łąpki na jej szyję.

- Idziemy się umyć, kawalerze - powiedziała z energią, i wycisnęła głośnego całusa na ciepłym, rozkosznie pachnącym karczku malca. W odpowiedzi usłyszała radosne, przesywające uszy piśnięcie.

Nie zdążyła przekroczyć progu łazienki, kiedy dzwonek do frontowych drzwi zaczął dzwonić jak na pożar. Oparła się o framugę i westchnęła głęboko. Ktoś wybrał sobie naprawdę zły moment na wizytę. Zresztą, kto mógł przyjść o tej porze, w powszedni dzień? Nie spodziewała się żadnych odwiedzin, a jeśli był to domokrażca, równie dobrze mógł nie tracić czasu na zachwalanie towaru, bo na pewno nie chciała kupić niczego, co sprzedawał. Podzwoni i przestanie, uznała, weszła do łazienki i posadziła dziecko na przewijaku.

Po kilkusekundowej przerwie gong dzwonka zadźwięczał znowu. I znowu. I jeszcze raz. Grace przewróciła oczami, tłumiąc komentarz, który był zupełnie nieodpowiedni dla uszu niewinnego dziecka. Intruz najwyraźniej zamierzał dobijać się w nieskończoność, więc nie było innej rady, musiała się pofatygować i poprosić, żeby sobie poszedł. Wzięła Zaca na ręce i ruszyła do drzwi. Pocieszała się myślą, że prawdopodobnie nie będzie się musiała wdawać w żadne dyskusje. Po wyczerpującym joggingu i asystowaniu przy posiłku Zaka przedstawiała sobą taki widok, że ktokolwiek stał na progu, ucieknie w popłochu, gdy tylko ją zobaczy.

Malec zerkał ciekawie znad jej ramienia, gdy odsunęła zasuwkę i otworzyła szeroko drzwi, gwałtownym gestem, który wiele mówił o frustracji, którą budził w niej uparty dźwięk gongu. Była postawną kobietą, zbudowaną jak sprinterka, i doskonale wiedziała, że potrafi wywołać onieśmienie jednym, odpowiednio chłodnym spojrzeniem.

Tym razem jednak, choć wyprostowała się na całą wysokość swoich stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i zwężiła oczy w szparki jak rozeźlona kocica, nie wywołała pożądanego efektu. Czarnowłosa mężczyzna, który stał na ganku, przewyższał ją o pół głowy. Na jej widok nawet nie drgnął; widocznie ani barwy wojenne na jej twarzy, ani zniecierpliwienie w jej wzroku nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia.

O niej nie można było powiedzieć tego samego. Panika, niczym gorący gejzer, wybuchła w jej piersi, zdławiła oddech, niemal odebrała władzę w nogach. Grace cofnęła się o krok i instynktownym gestem przycisnęła Zaka mocniej do siebie. Ogromnym wysiłkiem woli opanowała chęć, by zatrzaskać przybyszowi drzwi przed nosem, a potem ukryć się gdzieś, w najgłębszym zakamarku domu, i siedzieć tam tak długo, aż niebezpieczeństwo minie. Zamiast tego rozciągnęła usta w chłodnym uśmiechu, zebrała całą odwagę, na jaką było ją stać, i spojrzała w oczy człowieka, którego widziała po raz pierwszy, lecz rozpoznała natychmiast. Oczy koloru gorzkiej czekolady.

Pierwsza rzecz, która przysłała Emiliowi do głowy na widok Grace Chandler, była dość niemądra. Z niezrozumiałego dla siebie powodu spodziewał się, że zobaczy osobę w typie panny Benedicte, świątobliwej niewiasty, która prowadziła szkółkę niedzielną w Cusco. Uczęszczał tam, kiedy był w wieku przedszkolnym, lecz bardzo dokładnie zapamiętał ziemistą cerę, sztywny kok i ortopedyczne buty katechetki. Tymczasem skonstatował zaskoczony, że kobieta, która otworzyła drzwi z takim impetem, jakby chciała go nimi znokautować, w niczym nie przypominała zaszuszonej, sztywnej jak kij panny Benedicte. Była wysoka i szczupła, a nieco, hm, poplamiony, obcisły strój do joggingu, który miała na sobie, nie maskował jej gibkiej, wysportowanej figury. Emilio przez nieprzystojnie długą chwilę nie mógł oderwać wzroku od jej nóg. Długie do kolan legginsy interesująco opinały się na smukłych udach, ukazywały opalone, pięknie wyrzeźbione łydki i delikatne kostki. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, zobaczył, jak jej wyraziste, piwne oczy ogromnieją i zrozumiał, że go rozpoznała. Zrobiła krok w tył, jakby chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, ale w następnej chwili opanowała się i wyprostowała dumnie, odrzucając na plecy pasma lśniących włosów o barwie ciemnego karmelu. Jej wyzłoczone słońcem policzki pobladły nieco, a kiedy objęła mocniej dziecko, które trzymała na biodrze, zagrały mięśnie na jej mocnych ramionach sportsmenki.

Dziecko. Ponad ramieniem kobiety pojawiła się najpierw gęsta, poskręcana w ciemne sprężynki czupryna, a potem pyzata, niemożliwie usmarowana jedzeniem twarzyczka. Chłopiec uśmiechał się od ucha do ucha, mierząc przybysza ciekawskim spojrzeniem okrągłych, ciemnych oczu. Jakieś gwałtowne uczucie, gorące jak letni wiatr sponad gór, wypełniło pierś Emilia. Oto miał przed sobą bratanka, nadzieję rodu Santanów. Chłopiec... był wspaniały. Po Arturze odziedziczył ciemną karnację, ale w rysach twarzy zapisały się wyraźnie geny matki. Dziecko było prześliczne, wyglądało też na silne, zdrowe i wesołe. Emilio nie potrafił sobie wyobrazić doskonalszego stworzenia.

- Czy mam przyjemność z panią Grace Chandler? - przerwał ciszę, która trwała już od dobrych paru minut. - Nazywam się Emilio Santana i jestem...

- Tak, Grace Chandler to ja - odpowiedział mu chłodny, melodyjny alt. - I wiem, kim pan jest.

Grace nie miała żadnego problemu z rozpoznaniem młodszego brata Artura. Cassidy raz jeden, i to niezbyt chętnie, pokazała jej zdjęcie mężczyzny, z którym połączyła ją miłosna przygoda. Rodzinne podobieństwo obu Santanów było uderzające, pomimo oczywistych różnic. Arturo, o równie ciemnej karnacji co brat, rysy twarzy miał klasyczne, niemal idealnie piękne, sylwetkę godną modela, a jego wygląd cechowała szlachetna elegancja. Grace wydawało się, że doskonale rozumie, dlaczego siostra straciła głowę dla tego latynoskiego biznesmena. Zmieniła zdanie, gdy zobaczyła Emilia. Od młodszego z braci

promieniowała czystą, niczym nietamowana męska energia. Był trochę wyższy od Artura - musiał mieć co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i zarówno jego sylwetka, jak i rysy twarzy pozbawione były cechującej tamtego delikatności. Ramiona miał muskularne, pierś szeroką, nogi długie i mocne. W przeciwieństwie do starannie ostrzyżonego Artura, włosy nosił długie do ramion, związane na karku zwykłym rzemykiem w gruby, lśniący czernią pęk. Ale najbardziej przykuwała uwagę jego twarz - śmiała i wyrazista, niemalże grube rysy czyniły z niego mężczyznę o wyglądzie raczej interesującym niż pięknym. Szerokie łuki brwi nadawały głębi ciemnemu spojrzeniu pociągłe policzki i szeroki podbródek były jak wyciosane z granitu, a kształt ust miał w sobie coś niemal zwierzęco zmysłowego.

- Wiem, kim pan jest - powtórzyła, odwracając wzrok i siląc się na ton chłodnej uprzejmości. Emilio Santana naprawdę nie musiał wiedzieć, jakie zrobił na niej wrażenie. Zresztą, na pewno nie był tutaj po to, żeby z nią flirtować. - Nie mam natomiast pojęcia, co sprowadza pana w moje progi.

Emilio spojrział na Zaka, a Grace poczuła dreszcz niepokoju. Oczywiście, że chodziło o chłopca. Czy w jakiegokolwiek innej sprawie przedstawiciel rodu Santanów fatygowałby się osobiście do Tuscon, w Arizonie? Bardzo wątpliwe.

- Chętnie wyjaśnię powód mojej nagłej wizyty, ale to może zająć trochę czasu. Moglibyśmy może wejść do środka? - zasugerował, i nie czekając na zaproszenie, zrobił krok naprzód.

- Oczywiście. Proszę. - Usunęła się, wpuszczając go do wnętrza. Domek był maleńki; salon z wnęką kuchenną zajmował niemalże cały parter. Słońce wpadało przez duże okna i oszklone drzwi, za którymi widać było trawnik, huśtawkę i małą piaskownicę z mnóstwem kolorowych zabawek.

- Proszę, niech pan siada. - Pani domu, wciąż obejmując dziecko opiekuńczym gestem, cofnęła się, posyłając intruzowi nieufne spojrzenie.

- Chętnie. Dziękuję bardzo. - Emilio rozsiadł się wygodnie na obitej jasnym płótnem sofie i posłał Grace pojednawczy uśmiech. Chciała chyba odpowiedzieć mu uśmiechem, ale grymas, który pojawił się na jej twarzy, przypominał raczej ostrzegawcze szczerzenie kłów. Nie podeszła, żeby zająć miejsce w fotelu naprzeciwko, jakby wolała obserwować go z dystansu. Pomyślał, że ze swoją złocistą cerą, bursztynowymi oczami i grzywą ciemnoblonde włosów wygląda jak lwica, gotowa do ostatka bronić swojego lwiątka.

- Muszę pana na chwilę przeprosić. Kiedy pan zadzwonił, zamierzałam właśnie umyć i przewinąć małego. Zbliży się pora jego drzemki, więc jeśli zaraz nie trafi do łóżeczka, zacznie płakać, a to w znacznym stopniu utrudni nam rozmowę.

- Ależ oczywiście! - Emilio nie miał bladego pojęcia o opiece nad niemowlętami, toteż wizja ryczącego berbecia, w dodatku z pełną pieluchą, wystraszyła go nie na żarty. - Proszę spokojnie zająć się dzieckiem. Ja poczekam.

Grace poszła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi, a potem ciężko usiadła na

brzegu wanny i ukryła twarz w czuprynie Zaka. Czyżby jej przytulny, poukładany świat miał legnąć w gruzach? Czy los, który przed laty na zawsze pozbawił ją możliwości zostania matką, miał odebrać jej i tę szansę na macierzyństwo?

Nie. Nie dopuści do tego. Czując przyływ siły zrodzonej z buntu, pocałowała Zaka w pulchny policzek i zabrała się za to, co musiało zostać zrobione. Kilka minut później chłopiec był już do czysta wymyty, przewinięty i ubrany w świeże śpioszki. Grace przytuliła go mocno, zakołysała w ramionach, i nucąc ulubioną kołysankę, zaniósła do pokoju. Kiedy kładła go do łóżeczka, już spał.

Nie, powtórzyła w myślach. Nawet, jeśli okaże się, że Arturo Santana zmienił zdanie w kwestii zrzeczenia się syna i przysłał brata, by ten odebrał jej Zaka, nie pozwoli na to. Nie było takiej siły, która mogłaby ją zmusić do rozstania się z dzieckiem, które kochała jak własne. Wróciła do łazienki i na dosłownie trzy minuty wskoczyła pod prysznic, a potem wciągnęła przez głowę dzianinową sukienkę bez rękawów, w kolorze ciepłego beżu, wsunęła stopy w domowe klapki z szerokimi, skórzanymi paskami i zebrała wilgotne włosy w luźne upięcie nad karkiem. Nie był to może najbardziej wyszukany strój, ale przynajmniej nie będzie rozmawiać z Emiliem Santaną spocona i od stóp do głów poplamiona gotowanymi warzywami. Zeszła po schodach, stanęła w progu salonu i wzięła głęboki oddech jak przed startem w ważnych zawodach. Jakikolwiek intencje miał młodszy z braci Santanów, nie zamierzała poddać się bez walki.

Słuchając dobiegających z pięterka odgłosów domowego życia - szumu wody, popiskiwanie dziecka, kobiecego głosu nucącego jakąś melodyjną piosenkę - Emilio rozglądał się po saloniku. Dominowały tu jasne kolory, wewnątrz urządzono praktycznie, niemalże po spartańsku, lecz nigdzie nie było śladu męskiej obecności, jeśli oczywiście nie liczyć plastikowych samochodów, które utworzyły bardzo widowiskowy karambol na środku dywanu. Wszystko wskazywało na to, że mieszkała tu samotna kobieta z dzieckiem. I dobrze. Może był cyniczny, ale nie wątpił, że z samotną kobietą o wiele łatwiej załatwi sprawę, niż gdyby musiał stawić czoło także jej partnerowi. Nawet jeśli ta kobieta była tak intrygująca, jak Grace Chandler.

Poprzedniego wieczora, wiedziony ciekawością, wpisał jej nazwisko do wyszukiwarki internetowej. Pojawiła się na pierwszym miejscu. „Grace Chandler, absolwentka wydziału malarstwa Akademii Sztuk Pięknych, rysownicza, ilustratorka książek dla dzieci. Miejsce zamieszkania: Tuscon, Arizona. Hobby: sport, podróże”. Tego ranka mógł się przekonać, że rzeczywistość odpowiada opisowi. Na pierwszy rzut oka było widać, że dla Grace zainteresowanie sportem nie ogranicza się do oglądania meczów w telewizji. Zresztą, telewizora nigdzie nie zauważył. Za to przy oknie stały

sztalugi podtrzymujące rozpięty blejtram. Z bieli płótna, niczym z mgły, wyłaniało się stado wesołych, rozbrykanych zwierzaków. Łoś z ogromnymi łopatami i miękkim nosem spokojnie obskubywał młode pędy krzewów, wielkooka, czujna sarna stroszyła uszy, wyraźnie czegoś nasłuchując. Płochliwy zając susem rzucał się do ucieczki, a szary wilk zadzierał łeb, łapiąc w rozszerzone nozdrza zapach wiatru. Emilio patrzył jak urzeczony. Nic dziwnego, że Grace zdobywa nagrody za twórczość plastyczną. Zwierzęta, które wyszły spod jej pędzla, były jak żywe, a fantazja malarki obdarzyła je najbardziej pozytywnymi z ludzkich emocji. Były tak sympatyczne, że chyba nawet największy mazgaj musiałby się rozchmurzyć na ich widok.

- Czy napije się pan mrożonej herbaty? - Głos Grace wyrwał go z zamyślenia. - Niestety, niczym innym nie mogę pana poczęstować. Nie spodziewałam się gości...

- Dziękuję, naprawdę nie trzeba. Jedyna rzecz, na której mi zależy, to chwila pani czasu, żebyśmy mogli porozmawiać. I może jeszcze jedno - dodał, wstając. - Jestem Emilio, proszę mi mówić po imieniu.

- Grace. - Podała mu dłoń gestem, w którym nie było entuzjazmu. Uścisk miała mocny, palce przyjemnie chłodne.

- A... chłopiec... jak ma na imię? - Emilio poczuł nagle, że nie będzie mu łatwo przejść do sedna sprawy. Musiał powiedzieć tej kobiecie, że przyjechał odebrać jej dziecko. Miał dość wrażliwości, żeby czuć, jak bardzo jest to niesprawiedliwe. Ona wychowywała chłopca niemal od urodzenia. On w życiu bratanka nie odegrał żadnej roli, lecz więzy krwi dawały mu absolutne pierwszeństwo, gdy szło o prawa do opieki.

- Zak - powiedziała szybko, odwracając wzrok, i przysiadła na skraju fotela ustawionego po drugiej stronie niskiego stolika.

- Zak, wiem. - Usiadł także. - Ale czy to jest zdrobnienie od Izaaka? Czy może od Zacharego?

- Po prostu Zak, bo tak właśnie chciała Cassidy. - Grace splotła dłonie na kolanach. - Na razie, oficjalnie, nazywa się Zak Miller, ale gdy tylko postanowienie o adopcji się uprawomocni, będzie nosił moje nazwisko - dodała, podnosząc oczy. Emilio zobaczył w nich błysk wyzwania i pomyślał ze współczuciem, że Grace Chandler widocznie jeszcze nie rozumie, jak znikome ma szanse w tej rozgrywce.

- Rozumiem, że nie jesteś w żaden sposób spokrewniona z chłopcem - nie przestając się uśmiechać, wystrzelił pierwszy pocisk w stronę jej obronnych pozycji.

Zachnęła się.

- Jakie to ma znaczenie? Wychowywałyśmy się z Cassidy jak siostry, odkąd moja matka wyszła za mąż za pana Millera. Arturo Santana doskonale zdawał sobie sprawę z braku pokrewieństwa między mną a synem, kiedy wyraził zgodę na to, żebym go adoptowała. Mam list z jego własnoręcznym podpisem.

- Wiem, że dostałaś taki list, bo nie dalej jak wczoraj znalazłem jego kopię, kiedy porządkowałem papiery Artura. Dwa tygodnie temu mój brat zginął w wypadku samochodowym - powiedział bezbarwnym tonem.

Błyskawicznie połączyła fakty. Prowadziły do nieuniknionej konkluzji, i Grace poczuła, jak lodowata pięść strachu ściska ją za gardło. Umarł Arturo, starszy z braci Santanów i głowa rodu. Umarł, ale na świecie żył jego syn... i o niego właśnie upominał się teraz najbliższy żyjący krewny.

Patrzyła bez słowa na siedzącego naprzeciwko niej mężczyznę, fascynującego i tajemniczego jak daleka kraina, z której pochodził. Słyszała od Cassidy, że Santanowie byli potomkami konkwistadorów. Chyba już wiedziała, co czuli przedstawiciele podbitych plemion wobec miażdżącej siły bezlitosnego przeciwnika. Ten Santana nie był co prawda uzbrojony w arkebuz, ale to nie czyniło go mniej groźnym. Mógł ją zniszczyć. Mógł odebrać jej dziecko, a tego by chyba nie przeżyła. Zaciśnęła zęby, przygotowując się na cios. Nie czekała długo.

- Moim prawnikom dzisiaj rano udało się ustalić, że przysposobienie Zaka jako twojego syna nie zostało jeszcze orzeczone. Radzę, żebyś wstrzymała się z następnymi krokami. Nie sądzę, żeby ta adopcja mogła dojść do skutku.

- Dlaczego? - zdołała wychrypieć. Strach zamienił się w ostry, przeszywający serce ból. Sama myśl o tym, że mogłaby stracić to dziecko, była nie do zniesienia. - Przecież Arturo...

- Arturo zgodził się zrzec praw do dziecka, bo planował wstąpić w związek małżeński i założyć rodzinę. Wraz z jego śmiercią sytuacja zmieniła się diametralnie. Z tego, co mi wiadomo, Zak Miller jest jedynym potomkiem mojego brata.

- Przyjechałeś tu zatem, żeby go zabrać, bo nagle okazał się potrzebny? - Gniew buchnął w jej piersi jasnym płomieniem, uciszając strach, głuszając nawet ból. Kiedy mówiła, jej głos drżał z oburzenia. - Nie przyszło ci do głowy, że się na to po prostu nie zgodzę?

Rozsiadł się wygodniej na kanapie i przez chwilę nieobecny wzrokiem podziwiał widok za oknem. Sprawiał wrażenie doskonale zrelaksowanego.

- Rozważałem różne ewentualności - odezwał się wreszcie swobodnym tonem. - Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia, ale jeśli się to nie uda, to będę zmuszony zablokować postępowanie adopcyjne w sądzie i wystąpić o przyznanie mi wyłącznego prawa do opieki nad chłopcem. Moi prawnicy w Los Angeles przygotowali już wszelkie potrzebne pisma procesowe. Oczywiście, zrobię to tylko w ostateczności i z prawdziwą przykrością.

- Rozumiem twój punkt widzenia. - Grace powiedziała sobie twardo, że musi zachować spokój. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę; okazywanie emocji było luksusem, na który nie mogła sobie teraz pozwolić. - Więzy krwi to ważna rzecz. Ale przyznasz chyba, że istnieją też inne więzi międzyludzkie, które zasługują na szacunek i ochronę. Taką więzią, na przykład, jest miłość.

Zak nie jest moim biologicznym dzieckiem, ale kocham go jak własnego syna. Chłopiec nie może pamiętać Cassidy, a ojca nigdy nie widział; jestem jedyną bliską osobą, jaką ma na tym świecie. Rozdzielenie nas w imię interesu jego rodziny Santanów byłoby... krzywdą. Przede wszystkim dla niego.

- Rozumiem. - Pokiwał głową, wysłuchawszy jej tyrady.

- Doprawdy? - Zmrużyła oczy.

- Owszem. Pytanie tylko, czy ty na pewno rozumiesz całą złożoność sytuacji, Grace. Jak już mówiłem, Zak Miller jest jedynym synem Artura. Wiesz, co to znaczy? Chłopiec pewnego dnia odziedziczy imperium warte miliardy. Już dzisiaj mógłby zamieszkać w posiadłości Santanów nieopodal Cusco, wzrastać z dala od zanieczyszczonego, miejskiego powietrza i korzystać ze wszystkich udogodnień, jakie mogą dać pieniądze. Na przykład z edukacji na najwyższym, światowym poziomie i z najlepszej opieki zdrowotnej, jeśli zaszłaby potrzeba. Skoro kochasz Zaka, nie chcesz chyba pozbawić go takich perspektyw?

- Posłuchaj, jeśli myślisz, że olśnisz mnie wizją pieniędzy... - zaczęła, ale wpadł jej w słowo.

- Nie. To ty posłuchaj. - Nie podniósł głosu, ale jego ton stwardniał; pobrzmiwała w nim teraz rozkazująca, niemal groźna nuta. Spojrzenie jego ciemnych oczu hipnotyzowało, dławiło w zarodku wszelki protest. - Nie pieniądze są ważne, tylko przyszłość chłopca. Wmówiłaś sobie, że masz do czynienia z człowiekiem tępym i bezdusznym, ale to nieprawda. Doskonale rozumiem, że jesteś dla Zaka matką, jedyną, jaką zna, i jedyną, jaką kiedykolwiek będzie miał. Zabieranie go samego do nieznanego kraju byłoby okrucieństwem, a ja, być może wbrew pozorom, nie mam skłonności do okrucieństwa. Szczerze lubiłem Cassidy i nie pozwoliłbym, żeby jej synkowi stała się jakakolwiek krzywda.

Grace miała pustkę w głowie. Czemu miała służyć ta przemowa? Niemożliwe przecież, żeby Emilio Santana zmienił zdanie, i zamierzał po prostu wyjechać, zostawiając ją i Zaka w spokoju.

- Istnieje rozwiązanie, które moim zdaniem jest optymalne dla dobra dziecka - mówił dalej Emilio. - Zabiorę chłopca do Peru, co do tego nie ma dwóch zdań. Tam jest jego dom. Ale nic przecież nie stoi na przeszkodzie, żebyś pojechała z nami. Będziesz towarzyszyć małemu w podróży, zobaczysz na własne oczy rezydencję, w której zamieszka, poznasz ludzi, którzy będą go otaczać. Posiedzisz w Urubambie tyle czasu, ile zechcesz, a potem podejmiesz decyzję. Będziesz miała dwa wyjścia. Zostawić chłopca i wyjechać, uzgodniwszy najpierw, jak często, jeśli w ogóle, będziesz go odwiedzała. Albo zostać z nami w Peru, żeby uczestniczyć w jego wychowaniu.

Nie odpowiedziała od razu. Pozwoliła, żeby jego słowa wybrzmiały, dostroiła umysł do ich sensu. Tych kilka krótkich zdań, które właśnie usłyszała, stworzyło nową rzeczywistość, od której nie było ucieczki. Opór nie miał

sensu. W jaki sposób miałyby przeciwstawić się człowiekowi, który był w stanie wystawić dowolnie liczną armię prawników, żeby przeprowadzić swoją wolę? W dodatku Emilio Santana był przecież najbliższym krewnym Zaka - jego stryjem w prostej linii. Cóż więc bardziej naturalnego i godziwego niż to, że chciał zabrać go do domu? Naprawdę nie miał obowiązku zważać na to, że przy okazji niweczy największe marzenie niejkiej Grace Chandler.

Odetchnęła głęboko i postawiła pierwszy krok w nową rzeczywistość.

- Przypuśćmy, że pojechałabym z Zakiem do Peru została tam... na dłużej - powiedziała ostrożnie. - Kim byłabym dla niego, jeśli nie mogłabym go adoptować?

- Byłabyś jego nianią - padła krótka, jednoznaczna odpowiedź.

Skinęła głową. Czyli tak będzie wyglądało jej nowe życie. Emilio powiedział, że będzie musiała dokonać wyboru, ale ona tak naprawdę żadnego wyboru nie miała. Albo raczej dokonała go przed niespełna rokiem, kiedy po raz pierwszy wzięła małego, osieroczonego siostrzeńca na ręce. Wtedy postanowiła, że zrobi wszystko, żeby był szczęśliwy.

Jeśli ceną za to, by mogła pozostać z nim i zapewnić mu opiekę, był wyjazd do dalekiego kraju w roli niani, tak właśnie postąpi. Zrezygnuje z marzenia o usynowieniu Zaka, pogodzi się z tym, że nigdy nie będzie jego matką. Zostawi swoje poukładane życie i dom i pojedzie razem z nim w nieznane. Czyż Cassidy nie poświęciła dla synka nieporównanie więcej?

Spojrzała prosto w ciemne oczy siedzącego naprzeciwko niej mężczyzny.

- Przyjmuję twoją propozycję - powiedziała zdecydowanie. - I zapewniam cię, że nie pozwolę, by odsunięto mnie od Zaka tylko dlatego, że nie ma między nami pokrewieństwa. Istnieją więzi silniejsze niż wspólnota genów.

ROZDZIAŁ DRUGI

Grace niemal przykleiła nos do okienka, gdy samolot obniżył lot przed lądowaniem w Limie. Na zachodzie słońce malowało czerwienią brzuchy opasłych chmur. Pod nimi granie Andów, ostre jak ośnieżone szczyty, zdawały się przepływać niebezpiecznie blisko ich maszyny.

- Niesamowite - rzekła zauroczona widokiem.

Los rzucił nagle ją i Zaka w świat tak inny od dotychczas doświadczanego, że niemal nierzeczywisty. Los? Ten „los” miał wygląd i siłę woli Emilia, Santany. Grace wciąż była pod wrażeniem tempa, rozmachu i skuteczności działań tego człowieka. Potrzebował paru godzin od ich pierwszego spotkania, by niepojętą ekstrapocztą zmaterializowały się wizy dla chłopca i jego opiekunki. Potem jeden dzień musiał wystarczyć jej na spakowanie się i znalezienie osoby do pilnowania domu. Nazajutrz limuzyna z kierowcą zawiozła ich na lotnisko, gdzie, ominąwszy kolejki do zwykłych miejsc odprawy, zostali szybko i sprawnie dostarczeni do prywatnego odrzutowca.

Jego właściciel właśnie wynurzył się z biurowej części pokładu i przysiadł po drugiej stronie przejścia.

- Jak się miewa mały? - spytał, patrząc na chłopca uważnym spojrzeniem, jak gdyby chciał doszukać się w jego rysach śladów wyglądu swego brata. - Jest śliczny, prawda?

- Jego matka była piękna - odparła Grace. - I pięknie postąpiła.

Miała wielką ochotę uświadomić mu, jakie było poświęcenie, którego dokonała Cassidy na rzecz Zaka. Odmawiała sobie przecież terapii mogącej pomóc jej w ciężkiej chorobie, lecz jednocześnie groźnej dla dziecka w jej łonie. Rola Artura w sprowadzeniu go na świat polegała za to jedynie na radosnym strzyknięciu swoim DNA. Na tym tle Emilio nie mógł rościć sobie żadnych praw do dziecka. Nie powinien więc wdzierać się pomiędzy Zaka a Grace, by odebrać jej chłopca. Wszystko wskazywało jednak na to, że taki właśnie ma zamiar.

- Wyglądasz na zmęczoną. - Przyjrzał jej się z troską. - W moim domu znajdziesz wszelkie udogodnienia i pomoc. Będziesz miała czas na spacer po okolicy i relaks. I oczywiście na uprawianie swej sztuki. Warunki, jak sądzę, będą tu zgoła odmienne od tych w Arizonie.

Grace musiała w duchu przyznać, że w istocie przydało by jej się nieco wytchnienia. Opieka nad Zakiem była więcej niż pełnym etatem zajęć. I rzeczywiście była teraz padnięta. Odczuwała to zwłaszcza, patrząc na Emilia. Nawet po tak długim dniu, wygląd miał nienagannie świeży, a za sprawą prostych ciuchów: spodni o wojskowym kroju i szarej koszulki polo, również niezwykle dziarski. Nawet jednodniowy zarost sprawiał wrażenie zapuszczonego celowo.

- Zbliżamy się do Limy. - Zerknął za okno. - Chodź, z tej strony lepiej widać, a warto popatrzeć.

Gdy wstał, by ją przepuścić, musiała się lekko o niego otrzeć. Od razu poczuła dziwne, ale przyjemne mrowienie, wywołane bliskością męskiego ciała. Było przecież tak idealnie zbudowane, biło od niego ciepło i dyskretny zapach ziołowego mydła.

Czy mógł wiedzieć, jak na nią działa jego obecność? Też pytanie. Mężczyzna taki jak Emilio Santana musiał być świadomy swojego wpływu na kobiety. W tym również na taką, która miała wszelkie powody, by za nim nie przepadać... Dla takiego faceta uwodzenie było wręcz wrodzonym odruchem, jak oddychanie.

- Tam, w dole - powiedział i właśnie jakby na potwierdzenie tych myśli objął ją ramieniem, by skierować jej wzrok we właściwym kierunku. Na chwilę przestała zaprzętać sobie głowę niepokojącą obecnością mężczyzny i skupiła się na widokach. Góry ustąpiły miejsca płaskiemu fragmentowi lądu wzdłuż wybrzeża, zaskakująco jałowemu.

- Góry hamują wszelkie deszczowe chmury, dlatego mało tam zieleni - wyjaśnił Emilio, wciąż obejmując Grace ramieniem. - W Limie wodę do podlewania zieleni mamy wyłącznie ze studni. Spójrz, widać już światła miasta.

W przymglonym świetle wieczoru malowała się panorama ogromnej stolicy. Coraz wyraźniej dawały się rozpoznać sylwetki starych kościołów, wyniosłych wieżowców, zarysy głównych ulic i placów z nieustannym „krwioobiegim” ruchu samochodowego. Na obrzeżach, rozległe dzielnice biedoty czepiały się lichymi domkami nagich wzgórz.

- Czy nocujemy dziś w Limie? - spytała Grace wpatrzona w wieczorne miasto.

- Nie - odparł Emilio. - Zatankujemy tylko, załadujemy zapasy i załatwimy sprawy urzędowe waszego pobytu. Potem polecimy do Cusco.

- Będziemy musieli szlajać się po urzędach? - zaniepokoiła się Grace. Nie uśmiechała jej się perspektywa wystawiania z marudnym dzieckiem w kolejce urzędu imigracyjnego.

- Nie bój się, nic podobnego. Po prostu pokażę Wasze papiery kilku moim znajomym. Jeśli będzie trzeba, sami pofatygują się na pokład.

Ach, w ten sposób załatwia się tu sprawy, pomyślała Grace. Nie pochwaliała korupcji, ale była zbyt zmęczona, by protestować. Rzeczywiście, po wylądowaniu Emilio zdążył wyskoczyć z ich papierami i powrócić, jeszcze zanim zakończyło się tankowanie.

- Proszę bardzo. - Wręczył Grace jej paszport. - Mówiłem, że nie będzie problemu.

- Jestem pod wrażeniem - odparła. - Niemniej, nie bardzo chcę wiedzieć, jak się takie sprawy u was załatwia.

- Ech, wy, *Norteamericanos* - roześmiał się. - Tacy praworządni. Spróbuj

spojrzeć na to z innej strony. Ty jesteś zadowolona, że nie musiałaś budzić chłopca i stać z nim w męczącej kolejce. Mój przyjaciel z *Migracion* jest zadowolony, bo dostał ekstra dodatek do pensji. Nasz pilot jest zadowolony, bo trafi do domu jeszcze na kolację. I wreszcie ja jestem zadowolony, bo wszyscy są zadowoleni. Czy jest w tym wszystkim coś niewłaściwego?

Grace uśmiechnęła się tylko z rezygnacją w odpowiedzi, zapinając pasy przed startem.

- Ile jeszcze potrwa nasza podróż po wylądowaniu? - spytała, zmieniając temat.

- Już niedługo. Droga z Cusco do Urubamba zajmuje jakąś godzinę. Możesz pospać w limuzynie, Jeśli zechcesz. Zadbalem też o to, by było świeże mleko, jeśli chłopiec obudzi się głodny...

- On ma na imię Zak.

Popatrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

- Oczywiście, Zak.

Gdy odrzutowiec wznosił się znów w powietrze, Grace przyglądała się profilowi mężczyzny, rysującemu się na tle okna. Nagłe pojawienie się w jego życiu małego kuzyna, wprawiło tego silnego i pewnego siebie człowieka w zakłopotanie, uczucie właściwie mu dotąd obce. Najwyraźniej nie miał do czynienia z dziećmi. Ba, w ogóle najprawdopodobniej jeszcze nigdy nie był zmuszony do brania odpowiedzialności za drugą osobę. Och, tym razem będzie musiał zmienić swoje nawyki lekkiego i łatwego życia. Nauczyć się prawdziwych relacji z drugą osobą. Zwłaszcza, jeśli zamierzał serio zająć się wychowaniem malca, Grace musi dopilnować, by stał się dla niego kimś jak prawdziwy ojciec.

Srebrzysta limuzyna sunęła niemal bezszelestnie, gładko i delikatnie pokonując niesamowite serpentyny górskiej szosy. Wąska i kręta droga nie była łatwa po zmroku, lecz szofer miał świadomość obecności na pokładzie cennego ładunku.

Grace wcisnęła się w kącik przy drzwiach, oparła głowę o miękką poduszkę i rychło dała się ukołysać jazdą. Ogarnięty niecodzienną dla siebie czułością, Emilio okrył ją kocem. Trzeba przyznać, że trzymała się dzielnie i bez kapryszenia wobec wydarzeń wywracających jej dotychczasowe życie do góry nogami. Jedyne, czego oczekiwała, to by nie rozdzielać jej z dzieckiem, które pokochała. Dzieckiem, które nie było przecież jej... Szczerze ją za to podziwiał. Grace Chandler z pewnością była zacną, dobrą kobietą. Syn Artura miał szczęście, że trafił pod jej opiekę.

Dziecię spało, tak jak i jego opiekunka, wtulone w bezpieczny fotelik pomiędzy nimi. W półmroku Emilio wpatrywał się w pucułowatą buzię uspionego dziecka, perkaty nosek i bródkę z dołeczkiem, proste brewki i ciemne rzęsy. Widział w tych rysach dużo więcej z Cassidy niż ze swojego brata. Ale to

się jeszcze mogło zmienić. Jak każdy z Santanów, Zak powinien wyrosnąć na wysokiego i przystojnego mężczyznę. Wtedy wdroży się go w prowadzenie rodzinnego biznesu... Powinien to zrobić ojciec, lecz gdy jego zabrakło, stryj będzie musiał stanąć na wysokości zadania.

Emilio pogłaskał malca po łapce. Chłopiec poruszył się niespokojnie przez sen i zakwilił. Stryj od razu odruchowo cofnął dłoń. Czy zrobił coś złego? *Por Dios*, człowiek ma zastąpić małemu ojca, a nie ma pojęcia, jak obchodzić się z dziećmi! Może to dlatego, że sam nie zdołał zaznać prawdziwej opieki rodzicielskiej? Rodzice rozstali się, gdy Arturo i Emilio byli jeszcze mali. Matka, balując potem w rozrywkowych sferach peruwiańskiego *high-life*, nie poświęcała im uwagi. Aż w końcu zabiło ją fatalne połączenie prochów i alkoholu. Ojciec, zajęty prowadzeniem przedsiębiorstwa, umarł z kolei w wieku pięćdziesięciu lat na zawał... Krótko mówiąc, Emilio nie bardzo mógł wiedzieć, co to znaczy być ojcem. Świat uczuć rodzinnych wydawał mu się teraz trudniejszą sprawą niż codzienne użeranie się z udziałowcami przedsiębiorstwa i jego radą nadzorczą.

- Ciekawe, nad czym tak medytujesz? - Głos Grace wyrwał go z rozmyślań. Patrzyła na niego ze swego miejsca bystrym, choć nieco jeszcze zaspanym wzrokiem. Pomimo tych niesprzyjających okoliczności, wyglądała nadszpiewanie pociągająco. Emilio poczuł nagle dziwną magię tej chwili, gdy jechali w półmroku wnętrza limuzyny, siedząc blisko siebie, lecz rozdzieleni śpiącym dzieckiem. Magia ta wypływała z obecności tej kobiety, spokoju a może też i senności brzmiącej w jej głosie. Na jej pytanie wołał jednak nie odpowiadać, nie chcąc dzielić się swymi rozterkami.

- Opowiedz mi coś o Cassidy - poprosił zamiast tego.

- Nie poznałeś jej, gdy tu była?

- Owszem, zamieniliśmy kilka słów. Ale nie wspominała nic o swojej rodzinie. Ani o chorobie.

- Bo też, jeśli chodzi o rodzinę, nie było wiele do opowiadania. Byłyśmy jeszcze nastolatkami, gdy jej ojciec poślubił moją matkę. Z początku nic nas nie łączyło. Ona była tą młodszą, piękną i postrzeloną. Ja byłam starsza i poważniejsza. Z początku warczałyśmy na siebie albo w najlepszym wypadku ignorowałyśmy się. Dopiero, gdy nasi rodzice zginęli w katastrofie samolotu, zbliżyłyśmy się do siebie. Opiekowałam się nią, aż dorosła i zaczęła karierę modelki. Potem też stale utrzymywałyśmy kontakt.

- Kiedy widywaliśmy się w Peru, skarżyła się na ból głowy. Czy już wtedy wiedziała, że to guz mózgu?

- Pierwszą operację i naświetlania miała sześć lat wcześniej. Lekarze powiedzieli, że bóle głowy będą mogły oznaczać nawrót choroby. Tak więc nie miała wątpliwości, co jej dolega.

- Jakim cudem zdołała urodzić dziecko, będąc tak bardzo chora?

- Gdy wróciła do Stanów, zdała sobie sprawę, że jest w ciąży. Lekarze

zalecali aborcję, ale Cassidy nawet nie chciała o tym słyszeć. Wymogła nawet przyrzeczenie, że gdyby było z nią już zupełnie źle, funkcje jej ciała będą podtrzymywane tak długo, ile trzeba, by dziecku nic się nie stało. Natężyła resztę swych sił życiowych, by doczekać chwili, gdy je urodzi i nada mu imię. - Grace przełknęła łzy. - Poświęciła swoje życie, żeby wydać go na świat.

- Nie tylko ona poczyniła ofiarę na rzecz Zaka powiedział Emilio w zamyśleniu. - Pozwoliłaś, by twoje życie przewróciło się do góry nogami, teraz, gdy wybrałaś się z nim niemal na drugi koniec świata...

- Całe moje życie to Zak. - Błysnęła w ciemności wilgotnymi oczami. - Nic, co zostało w moim kraju, nie liczy się dla mnie tak bardzo jak on.

- Miałaś tam przecież dom i pracę...

- Dom mam tam, gdzie jestem. I tam, gdzie jestem, mogę pracować. Wystarczy mi kawałek stołu.

Oczywiście, tak jak mówiłem, znajdzie się dla ciebie specjalne miejsce do pracy. Co więcej, u mnie możesz uprawiać sztukę dla przyjemności. Jeśli zechcesz zostać, otrzymasz wynagrodzenie, jako osoba do opieki nad synem mojego brata.

Od razu spostrzegł, że Grace zeszywniała na te słowa. Zdał sobie sprawę, jak fatalnie zabrzmiały. Powinien ująć to inaczej. Dać jej do zrozumienia, że wynagrodzenie pieniężne i dach nad głową, wikt i opierunek, to minimum, jakim mógł wyrazić swą wdzięczność dla niej. Wiedział też, że wbrew jej słowom, zostawiła za sobą ważną część swojego życia.

- Zatem wydaje ci się, że tym właśnie jestem dla Zaka? Wynajętą niańką?

- Ależ skąd - zaprzeczył. - Chcę tylko wszystko zaaranżować w odpowiedni sposób, dla dobra dziecka, twojego i przyszłości mojej rodziny.

Przez chwilę wpatrywała się w niego wciąż z gniewem, który jednak wyraźnie starała się powściągnąć.

- Powiedz mi coś o swojej rodzinie - poprosiła znienacka.

- Nie mam wiele do powiedzenia, tak jak ty o twojej. Piętnaście lat temu straciłem oboje rodziców. Ich pierwszy syn zmarł, gdy miał cztery lata... Zostaliśmy tylko Arturo i ja. I to już wszystko.

- Czy Arturo miał żonę? Powiedział mi, że się żeni.

- Do ślubu nigdy nie doszło. Ciągłe znajdował jakieś wymówki, głównie związane z pracą. Ale, jak sądzę, prawdziwą przyczyną było to, że nigdy nie przestał myśleć o Cassidy.

- Czyli jesteś ostatnim z Santanów - zauważyła.

- Już nie. - Wskazał wzrokiem śpiące między nimi dziecko.

Gdy docierali do Urubamby, chłopiec zdążył się obudzić i zacząć grymasić. Grace odnalazła w chłodziarce przygotowaną butelkę, którą zaraz mu podała. Niedługo Zak nauczy się pić z kubeczka. Potem przyjdzie czas na naukę chodzenia, mówienia, korzystania z nocniczka... Wszystkie te etapy wymagały

opieki i obecności matki lub osoby tak bliskiej jak Grace. Jakżeby mogła wrócić do Arizony, pozostawiając Zaka nieznanym opiekunkom?

Emilio pociągnął nosem i skrzywił się.

- Ktoś tu chyba powinien zmienić pieluchę.

- No tak, najwyższa pora. - Ona również wychwyciła charakterystyczny zapach. - Miałam jednak nadzieję, że obejdzie się bez przewijania w samochodzie.

- Jeśli można z tym jeszcze trochę poczekać, to za kilka minut będziemy w domu.

Dom... Grace sama przed chwilą orzekła, że to miejsce jest tam, gdzie ona akurat się znajduje. Wiedziała jednak, że będzie trudne, jeśli w ogóle możliwe, traktować ów osobliwy kraj jak dom. Ale Zakowi będzie pod tym względem łatwiej. A jeśli to miało być dobre dla dziecka, ona znajdzie sposób, by sobie poradzić ze swoim „przesiedleniem”. Na przykład odnajdując komizm w sytuacji takiej jak ta. Oto Emilio Santana kurczył się na kanapie limuzyny z dala, na ile mógł, od chłopca.

- Cóż to, nigdy jeszcze nie przewijałeś dziecka? - spytała z kpina w głosie.

- Nie. I nie zamierzam.

- Dlaczego? Znam wielu prawdziwych mężczyzn, którzy nie zawahają się zmienić dziecku pieluszki.

- Może u was, w Stanach. Na pewno nie tutaj. Nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć.

- W takim razie muszę ci to zademonstrować. - To mówiąc, Grace sięgnęła do torby z pieluchami i środkami czystości dla niemowląt.

- Nie życzę sobie. - Złapał ją za nadgarstek. - Nie teraz i nie tutaj.

Zachichotała, a dołeczki w jej policzkach natychmiast się pogłębiły. Emilio zmełł w ustach jakieś latynoskie przekleństwo i puścił jej dłoń, opadając z powrotem na siedzenie.

- Żartujesz sobie ze mnie. Jesteś prawdziwą wiedźmą, Grace.

- Cóż, bywałam nazywana gorzej. - Zamknęła torbę z pieluszkami. - Tym razem ci się upieczę. Ale jeśli rzeczywiście masz zamiar zastąpić małemu ojca, będziesz musiał przywyknąć do wszystkiego, co się z tym wiąże.

Przez moment na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Grace nie była pewna, czy dlatego, że ośmieliła się udzielać mu lekcji, czy po prostu zaczął zdawać sobie sprawę, co znaczy prawdziwa opieka nad dzieckiem. Przysposobienie chłopca jako dziedzica interesów rodziny to jedno, a jego rzetelne wychowywanie to osobna sprawa. Czy młody biznesmen będzie w stanie jej sprostać?

Jej rozmyślania przerwał dźwięk kół sunących po żwirze. Limuzyna skręciła z szosy w wąską drogę wysadzaną drzewami. Ich korony tworzyły nad nią żywy, zielony baldachim, przetykany teraz srebrnym światłem księżyca. Na końcu podjazdu jaśniało okienko kordegardy. Odźwierny w mundurze wy-

nurzył się z niej, by uchylić skrzydła kutej bramy. Grace przebiegł dreszcz, gdy spostrzegła ogromny rewolwer wiszący u jego pasa. Wjechali za ogrodzenie.

- Jesteśmy w domu - oznajmił Emilio.

W domu? Przecież była tu po raz pierwszy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obudził ją strumień światła wpadający do pokoju poprzez nieprzesłonięte okno o drobnym podziale. Rozejrzała się nieprzytomnie. Ciekawe, która godzina. No tak, już po dziewiątej... Przecież była w Peru, nie w Arizonie, strefa czasowa była tu jak w Nowym Jorku. Spałaby dalej, gdyby nie obudziło jej słońce. Zak też z pewnością odsypiał lot. Opadła z powrotem na poduszkę. Jeszcze trochę czasu upłynie, zanim da się słyszeć z jego łóżeczka gaworzenie. Nie musiała się nigdzie spieszyć.

Głęboką już nocą dotarli wczoraj do rozległej - jak można się było zorientować w ciemności - hacjendy za kamiennym murem. Emilio ulotnił się, zaś pulchna kobieta w miejscowym stroju pokazała Grace jej sypialnię i przylegającą łazienkę, w całości wykończoną marmurem. Grace przewinęła i ułożyła na szczęście nakarmione już dziecko do łóżeczka. Potem sił starczyło jej tylko na umycie zębów i jak kłoda zwała się do czyściutkiej pościeli.

Gdy ponownie otworzyła oczy, z ciekawością rozejrzała się po ogromnej sypialni. Jej wielkie łóże z baldachimem wyglądało, jakby zostało wyciosane z pnia jednego drzewa. Zarówno ono, jak i łóżeczko dziecięce miały moskitiery. Pokrywały je bordowe kapy, kontrastujące swoimi wzorami z surowym stropem z ciemnego drewna i pobielonymi ścianami. Pod ścianą stała ogromna, zdobiona szafa. Bogato ornamentowana była także toaletka z wysokim kryształowym lustrem i wyściełaną atlasem ławeczką. Wszystkie meble sprawiały wrażenie prawdziwych antyków.

Z całą pewnością nie mógł być to zwykły pokój gościnny. Urządzono go dawno temu dla osoby, której stroje wypełniały tę wspaniałą szafę, a kosztowności obwieszały toaletkę. Grace starała się wyobrazić sobie pokolenia rodziny Santanów zaludniające przez lata ów dom, wszystkich tych mężczyzn i kobiety. Ilu z nich żyło, kochało, spało - i umarło - w tym pokoju? W tym łóżku?

Sama nie poznała nawet swoich dziadków i niewiele o nich wiedziała. A jak to jest mieć rodzinę, której historia sięga generacje wstecz?

Całkiem już rozbudzona tymi rozmyślaniami wyskoczyła z łóżka na pokrytą ceramicznymi płytkami podłogę. Podbiegła lekko do łóżeczka, sprawdzić, jak się śpi Zakowi, który dotąd nie wydał jeszcze głosu. Rozchyliła materiał spływający z baldachimu i zamarła. Dziecka nie było w łóżeczku!

Wyszarpnęła z walizki długą bawełnianą koszulkę i wciągnęła ją pospiesznie. Jej instynkt macierzyński został boleśnie urażony. Oto dzieciątko pod jej opieką zaginęło w obcym domostwie. Przecież mógł się wygramolić lub wypaść z łóżeczka i popełznąć Bóg wie gdzie! Musiała go natychmiast odnaleźć.

Boso wybiegła z sypialni na korytarz. Zaraz za zakrętem zderzyła się z

czymś dużym i twardym. Niewątpliwie był to Emilio. Odbiła się od jego muskularnego torsu i zachwiała, ale chwycił ją silnym, lecz delikatnym uściskiem za ramiona.

- Grace? - spytał zaniepokojony. - Co się stało?

- Zak zniknął! Nie ma go w kołysce!

Jego wzrok prześliznął się po jej sylwetce w dezabilu, o zmierzwionych po spaniu włosach. Zmieszana, poprawiła dekolt luźnej koszulki, który zsunął się z jednego ramienia, ukazując fragment stanika. Emilio wyglądał teraz, jakby chciał powstrzymać śmiech.

- Spokojnie, wszystko jest w porządku. Zak obudził się wcześniej, służące zabrały go do kuchni. Jestem pewien, że świetnie się tam bawi.

Grace odetchnęła z ulgą, ale zaraz poczuła wstyd. Jak to? Przespała moment, kiedy Zak się obudził? Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Owszem, była wykończona podróżą, ale to jej nie usprawiedliwia. I jak ona teraz wygląda przed Emiliem, już pierwszego dnia dając plamę?

- Cóż to? Łzy? - Ujął ją pod brodę. Chyba przed chwilą musiał wziąć prysznic, bo pachniał mydłem, a Jego ciemne włosy lśniły jeszcze od wilgoci. Ubrany był w dżinsy i szary T-shirt, który, uwypuklając jego imponującą muskulaturę, powodował, że mężczyzna wydawał się niepokojąco przystojny. Delikatnie pogładził jej policzek. Od jego dotyku przeszedł ją zaskakująco rozkoszny dreszcz. Próbowwała zignorować to odczucie, bo wydało jej się nie na miejscu.

- Biedna Grace. Masz prawo być zdenerwowana. Jak każda matka w takiej sytuacji - starał się ją uspokoić.

Nie jestem matką, pomyślała z bólem, i nigdy nie będę. Emilio nie miał pojęcia, że doświadczenie prawdziwego macierzyństwa było dla niej niemożliwe, a pojawienie się Zaka w jej życiu stało się wyjątkową szansą na zaznanie czegoś możliwie podobnego, szansą, która mogła się nie powtórzyć.

- Zaprowadzę cię do kuchni - zaproponował, gdy milczała. - Przekonasz się, że małemu nic nie jest.

Skonfundowana tym wszystkim, Grace zerknęła na swoje bose stopy i okrywającą ją koszulkę.

- Nie, nie mogę się tak pokazywać ludziom.

- Ależ czemu nie? - Emilio wziął ją za rękę. - To jest mój dom, a ty jesteś moim gościem. Nikomu nic do tego, jak wyglądasz. Służba jest przyzwyczajona do widoku ludzi paradujących tu w najróżniejszych ubraniach. Albo i bez nich.

- Wyobrażam sobie - mruknęła, gdy poprowadził ją korytarzem. No, jeśli Zak ma zostać w tym domu, Emilio będzie musiał zrezygnować z części swoich dotychczasowych nawyków.

Przejście wiodło przez przeszkloną sień. Rosły tu drzewa palmowe w wielkich glinianych donicach. Dalej, za rzędem filarów otwierał się widok na

patio z fontanną, która wyglądała tak, jakby ciurkała tam od wieków. Cała ta oszałamiająca posiadłość miała stać się własnością Emilia, jako spadkobiercy Artura.

Tutaj Zak z pewnością dostanie wszystko, co najlepsze pod słońcem, z porządną edukacją na czele. Cóż zaś ona mogłaby zaoferować, wychowując go samotnie? Skromne mieszkanie, publiczną szkołę, żmudną codzienność...

Coraz mocniejszy błogi melanz aromatów parzonej kawy i świeżo upieczonego chleba niezbitnie dowodził, że zbliżają się do kuchni. Dały się też słyszeć kobiece głosy i śmiechy.

- Proszę, tędy. - Emilio szarmancko wskazał wejście. I zaraz Grace znalazła się w świetlistej kuchni, wielkiej jak w zamku. Nowoczesne urządzenia wkomponowano tu zmyślnie w starą zabudowę uzupełnioną kolorowymi płytkami glazury. Nastroju dopełniały girlandy suszonych papryk, warkocze czosnku, strąki fasoli i laski wanilii oraz lśniące miedziane rondle i garnki wiszące nad masywnym okapem.

Tuż obok okna stało wysokie drewniane krzeselko dziecięce, na którym rezydował Zak. Dwie dziewczyny w ludowych strojach karmiły go plasterkami banana, zaśmiewając się na widok, jak malec pakował sobie zgniecione w rączce cząstki do buzi. On zaś gaworzył z ukontentowania, że znajduje się w centrum uwagi. Obrócił się ku drzwiom, gdy nowe osoby pojawiły się w kuchni. Na widok Grace w pierwszej chwili na jego buzi odmalowało się zdziwienie. Zaraz potem oczy rozjaśniła mu radość. Uśmiechnął się szeroko, zamachał łapkami i wyrzekł swoje pierwsze w życiu słowo.

- Mama!

Serce Grace zamarło ze wzruszenia.

Wyciągnęła ręce do chłopca, a Emilio dostrzegł w jej oczach łzy. Od płaczących kobiet zwykł się trzymać z daleka. Nie znosił ani histeryczek, ani manipulaterek. Tym razem jednak patrzył jak urzeczony.

Wyraz macierzyńskiej miłości, którym przepelnione były wilgotne oczy Grace, poruszył go w zdumiewająco mocny sposób. Sam, nie zaznawszy pełni matczynej opieki, w osłupieniu odczytywał głębię uczuć kobiety do chłopca, który nawet nie był jej biologicznym dzieckiem. Po raz pierwszy naszała go myśl, że zabranie Zaka do Peru nie było tak całkowicie aktem dobrodziejstwa, a próba oderwania go od jedyne go źródła matczynej miłości, jakiego zaznał, byłaby zbrodnią. Był tylko jeden właściwy sposób wyjścia z tej sytuacji. Należało przekonać Grace Chandler, żeby została w Peru i tu wychowywała chłopca. Wiedział jednak, że nie będzie to łatwa sprawa, chociaż już przecież zgodziła się tu przyjechać. Była jednak cudzoziemką, która musiałaby zostawić swoje dotychczasowe życie i przyzwyczajenia ze Stanów Zjednoczonych. Na pewno znalazłaby tu mnóstwo doskwierających różnic w stylu życia. Może zbyt uciążliwych, by je znieść, może wolałaby wrócić. Ale przecież miejsce chłopca jest tutaj! Emilio nie mógł pozwolić na jego powrót do Arizony. Trudna

sprawa...

Grace nachyliła się właśnie nad dzieckiem, by obetrzeć mu serwetką zapaćkaną buzię. Jej koszulka pod-jechała w górę, co dało Emiliowi frapujący widok na fragment bielizny okrywającej niezwykle kształtne pośladki i długie, piekielnie zgrabne nogi. Może po prostu należy ją uwieść? Wówczas chętnie zostanie w Urubambie. Ale co będzie potem? Jak dotąd, doświadczenie uczyło Emilia, że każdy związek ma swój kres, a kochankowie się rozchodzą. Grace była zbyt dumna, żeby po czymś takim pozostać w jego domu. Zwłaszcza, gdyby zechciał nawiązać znajomość z jakąś nową *compañera*...

Nie, to nie mogło się udać. O flircie trzeba było zapomnieć. Jeśli chciał, żeby Grace została w Urubambie, musiał traktować ją... jak siostrę. Aż cmoknął po cichu, wciąż wpatrzony w jej ponętne kształty. Czekало go trudne zadanie. Trudne, ale wykonalne, powiedział sobie twardo. Potrafił przecież utrzymywać relacje ponętными kobietami na stopie wyłącznie przyjacielskiej. Tak było przecież z Cassidy. Zamknie więc oczy na powaby Grace, skoro tego wymagał interes rodu.

Choć podjął mocne postanowienie, nie przestał gapić się na obiekt swoich rozważań. Zarys kobiecego ciała pod kusym wdziankiem nie mógł pozostawiać prawdziwego mężczyzny obojętnym. Emilio zaklął pod nosem. Jeśli sprawy tak się będą miały, zmarnuje dużo czasu pod zimnym prysznicem.

Żeby zająć myśli innymi sprawami, zerknął na zegarek.

- Grace? - Odwróciła się ku niemu, a przeświecone słońcem włosy zatańczyły nad jej czołem. - Zapraszam cię na śniadanie. Spotkajmy się na patiu za pół godziny, dobrze? Potem oprowadzę cię po domu i okolicy.

Gdy Grace wróciła do sypialni, dzień już stawał się gorący. Wzięła szybki prysznic, włożyła wygodne szorty, zwykły bawełniany T-shirt, a na nogi rzemieńne sandały. Po chwili zastanowienia wpięła w uszy długie złote kolczyki. Myślała, że czeka ją kąpanie Zaka, ale służące, Ana i Eugenia, zajęły się już chłopcem. Z tego, co mogła zrozumieć, dziewczęta były siostrami i miały jeszcze czwórkę młodszego rodzeństwa w domu. Wprawnie radziły sobie z wszelkimi czynnościami przy dziecku. Grace nie pozostało nic innego, jak tylko wręczyć im świeże ubranka i pieluchy. Starsza służąca, którą spotkała poprzedniego wieczoru, poprowadziła ją przez hol do innego patia z częścią jadalną. Gdy były na miejscu, kobieta uśmiechnęła się.

- *Me llamo Dolores*.

- *Mucho gusto, Dolores. Me llamo Grace*. - Nauka hiszpańskiego w szkole zaczynała się przydawać.

- *A su servicio, señorita*. - Służąca nalała jej do kubka obficie czarnej, świeżo zaparzonej kawy, skinęła głową i oddaliła się.

Grace rozsiadła się przy stoliku, upiła kawy i rozejrzała się wokół. Patio było większe niż to, które widziała wcześniej. Bujna roślinność zwieszała się z

okapów dachu. W wielkiej żeliwnej klatce dwie szkarłatne papugi trzepotały skrzydłami i klóciły się, dziobiąc kawałki owoców. Dalej widać było wykładaną płaskimi kamieniami ścieżkę, która wijąc się przez gaj kwitnących drzew, prowadziła do basenu. Jakiś mężczyzna czyścił wodę siatką na długim kij. W tle majaczyły wysokie góry o skalistych zboczach.

- Już jesteś! - Emilio wkroczył na patio. - Przepraszam za spóźnienie, zatrzymała mnie pilna korespondencja.

- Nic się nie stało, miałam czas podziwiać widoki.

Usiadł naprzeciwko i otaksował ją spojrzeniem.

- Wyglądasz... - zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś innego - uroczo.

Dolores pojawiła się znów, tym razem z tacą zapełnioną kunsztownie ułożonymi kawałkami tropikalnych owoców.

- Och, to prawie zbyt piękne, by zjadać - zachwyciła się Grace, lecz bez wahania nałożyła sobie porcyjkę.

- Jeśli chodzi o jedzenie, nasza Dolores jest prawdziwą artystką. Zobacysz! Dziewczyny to jej siostrzenice. Przyuczają się przy mistrzyni, tak jak Dolores uczyła się od swego ojca. W tej samej kuchni, którą widziałaś.

- Rzeczywiście, kolejne frykasy, które wjechały na stół, były niezrównane: delikatna jajecznica, fasola z pikantnym sosem, pieczone ziemniaczki, kukurydziane ciasteczka. Wszystko było tak nieziemsko dobre, że Grace musiała siłą powstrzymać się od pochłaniania nowych porcji.

- O rety, czy codziennie tak tu jadacie? - spytała oszołomiona.

- Przyzwyczaisz się - zapewnił, rozbawiony jej łakomstwem. - W miastach jada się tak, jak wszędzie w świecie. Ale tu, w Urubambie, jesteśmy wierni tradycji. Dzień zaczyna się porządnym śniadaniem. Potem lekki lunch około drugiej po południu. Następnie sjesta, o ile znajdzie się na nią czas. Dopiero wieczorem, o dziewiątej, wszyscy gromadzą się na obiad. To jest właściwy sposób posilania się. Jeśli skończyłaś, chciałbym ci pokazać okolicę. Jeździsz może konno? - zapytał po chwili

Konno? Odruch lęku szarpnął sercem Grace, ale zmusiła się do uśmiechu.

- Jeździłam jako nastolatka. Ale to było piętnaście lat temu. Już na pewno zdążyłam zapomnieć, jak to się robi. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym się przejść.

- Nonsens. Posiadłość jest na to za duża! - nalegał, co tylko wzmogło w niej strach. - Nikt, kto raz nauczył się jazdy, już tego nie zapomina. Dostaniesz najłagodniejszego wierzchowca. Tylko musisz włożyć długie spodnie. - Zerknął na jej gołe nogi.

Grace podniosła się z fotela. Najprościej byłoby powiedzieć mu teraz prawdę. Ale były to sprawy zbyt intymne, by dzielić się nimi z obcym człowiekiem.

- Zobaczymy się za piętnaście minut. - Emilio nie przejął się jej brakiem entuzjazmu. - Znajdę dla ciebie jakiś kapeluszek i zobaczę, co u chłopca.

On ma na imię Zak, chciała powiedzieć, ale nie mogła wydobyć głosu przez ściśnięte strachem gardło.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W sypialni Grace zrzuciła szorty i znalazła swoje niebieskie dżinsy. Jej nogi dygotały, kiedy się ubierała. Może powinna symulować nagłą chorobę lub wykręcić się wymówką, że Zak jej potrzebuje. Wymyślić cokolwiek, byleby nie musieć zbliżyć się do koni!

Kiedy wciągała dżinsy, jej palce natrafiły na bliznę na brzuchu. Bez względu na to, jak bardzo chciała zapomnieć o wypadku sprzed lat, skaza na jej ciele zawsze o nim przypominała. Teraz koszarne wspomnienia powróciły - chrzęst twardego żwiru pod plecami, rzenie konia, wierzgające kopyta i potworny ból miażdżonego ciała. Przygryzła wargę. Wspomnienie było tak ostre, jak gdyby wypadek wydarzył się wczoraj. Dałaby wszystko, żeby o nim zapomnieć. Przez ostatnie piętnaście lat trzymała się z daleka od koni i jeździectwa. Może nadszedł już czas, żeby zmierzyć się ze swoim strachem?

Gdy zapinała sandały, nie mogła opanować drżenia rąk. Żałowała, że nie spakowała solidniejszych butów.

Emilio czekał na nią na patiu, ubrany w lnianą kamizelkę nałożoną na koszulę.

- Chodźmy! - uśmiechnął się, wkładając jej na głowę słomkowy kapelusz. - Przejazdźka na pewno ci się spodoba!

Obeszli basen i przecięli rozciągający się za nim trawnik. Spomiędzy okalających go drzew Grace dostrzegła długi, niski budynek, z jednej strony przylegający do ogrodzonego padoku. Niewątpliwie była to stajnia. Jej puls szaleńczo przyspieszył. Zatrzymała się.

- Posłuchaj - powiedziała. - Piętnaście lat temu miałam wypadek na koniu. Nie będę wchodzić w szczegóły, ale byłam ranna, ciężko. Od tamtej pory nie jeździłam.

W spojrzeniu, jakim ją obrzucił, dostrzegła zrozumienie i odetchnęła z ulgą. Teraz - spodziewała się - daruje jej wszelkie przejażdżki.

- Czy często jeździłaś konno przed wypadkiem? - zapytał.

- Tak, niemal w każdej wolnej chwili.

- No to już czas, żebyś zaczęła znowu. - W jego wzroku było coś hipnotyzującego. - Jeśli rezygnujesz z tego, co kochasz, ponieważ kiedyś cię zraniło, będziesz tego żałować do końca życia.

Wyciągnął do niej dłoń, lecz Grace wciąż ociągała się, by ruszyć z nim dalej.

- Nie rozumiesz. Ja się boję koni. Jestem przerażona, jeśli chcesz znać prawdę.

- Lubisz być przerażona, Grace?

- Oczywiście, że nie. - Zdumiona potrząsnęła głową. - Nienawidzę tego. Ale przecież nie mam wpływu na takie emocje.

Kąciki jego zmysłowych ust uniosły się w uśmiechu. Chwycił jej dłoń i

przytrzymał ją delikatnie, lecz stanowczo.

- Chodź - powiedział. - Przedstawię ci moje piękne konie.

Poprowadził ją przez drzewa do ogrodzenia padoku. Za sztachetami trzy klacze ciemnej maści pasły się, podczas gdy ich żrebaki baraszkowały na słońcu. Na widok ludzi podniosły łby - eleganckie, silne stworzenia ze szlachetnymi pyskami, jedwabistymi grzywami, bujnymi ogonami, zgrabnymi nogami.

Emilio zagwizdał. Klacze zastrzygły uszami i ruszyły do nich; wydawało się, że nie kłusują, lecz po prostu płyną. Grace, jako miłośniczka koni, nauczyła rozpoznawać ich rasy, ale takich zwierząt nigdy jeszcze nie widziała.

- To są peruwiańskie pasos - usłyszała. - Hodowane specjalnie na długie dni w siodle. Arturo zajmował się rodzinnym interesem, ale te maleństwa są moje.

Klacze zbliżały się do ogrodzenia. Grace poczuła, jak lodowata obręcz strachu zaciska jej się na piersi. Próbowwała się cofnąć, ale Emilio delikatnie ją przytrzymał.

- Nie bój się - powiedział. - Są łagodne jak kociątka

Klacze zebrały się przy ogrodzeniu. Ich oczy ocienione długimi rzęsami miały kolor płynnego bursztynu. Nosami bodły kamizelkę Emilia, myszkując po kieszeniach. Śmiał się głośno, szczęśliwie, jak człowiek, który jest w swoim żywiole.

- Po kolei, moje panie. Wiem, że mnie kochacie. Proszę...

Wyciągnął z kieszeni marchewki i nakarmił wszystkie klacze, prócz jednej. Rżała niecierpliwie, czekając na przysmak, lecz Emilio wręczył ostatnią marchewkę Grace.

- Śmiało. Nie ugryzie cię.

Karmienie konia to nic w porównaniu z jazdą na nim, powiedziała sobie Grace. Jednak jej dłoń drżała, gdy podawała marchew. Usłyszała głośne sapnięcie, poczuła na dłoni chmurę ciepłego oddechu, a potem delikatne muśnięcie aksamitnego pyska. Grace wydała drżące westchnienie. Nogi miała zupełnie miękkie.

- Nie było tak źle, prawda? - spytał Emilio cicho.

Serce Grace łomotało. Jej strach był irracjonalny, ale nie miała wpływu na reakcję swojego ciała.

- Myślę, że nie dam rady.

- To nie myśl. Tylko po prostu spróbuj. Konie dla nas już czekają. - Trzymając ją mocno za rękę, prowadził w kierunku stajni. - Zobaczysz, jeszcze będziesz mi wdzięczna.

Grace pozwoliła sobą kierować. Emilio rzucił jej wyzwanie. Jeśli chciała, żeby ją szanował, musiała to wyzwanie podjąć. Musiała pokonać strach.

Kiedy weszli na dziedziniec stajni, Grace zobaczyła dwa osiodłane konie. Niewielki srebrnoszary wałach stał spokojnie, podskubując trawę. Znacznie roślejszy od niego, złocisty ogier palomino raz po raz wstrząsał białą grzywą i

wymachiwał ogonem.

- To on spłodził źrebaki, które widziałas na padoku. - Emilio poklepał lśniąca szyję ogiera. - Czekam, żeby urodził się jakiś równie pięknie umaszczoney, ale póki co na próżno.

- Dosiadasz ogiera? - Kiedy palomino zarżał nagle, unosząc kształtny łeb, Grace z najwyższym trudem powstrzymała się, żeby nie uskoczyć w tył.

- Pasos to najłagodniejsze z koni, nawet ogiery - powiedział Emilio. - Sama zobaczysz.

- Ja? - Wargi jej pobieleły. - Zamierzasz wsadzić mnie na tego konia?

- Jeszcze nie dzisiaj - Emilio pogłaskał wałacha po pysku. - Pojedziesz na Mansie, tym tutaj. To spokojny stary kumpel. Nawet dziecko mogłoby na nim jeździć.

Manso. To imię dobrze wróżyło, oznaczało oswojony lub łagodny. Może wszystko będzie dobrze. Jednak jej żołądek skurczył się, kiedy Emilio wziął ogiera za uzdę i odszedł na bok, żeby go dosiąść. Zimna kropla potu spłynęła po jej czole.

Wstrzymując oddech, umieściła sandał w strzemieniu i podciągnęła się. Koń zadreptał w miejscu, kiedy usiadła w siodle. Spokojnie, kolego. Pogłaskała gładką szyję, czując ciepło skóry, pod swoją dłonią. Przecież to tylko przejażdżka, powiedziała sobie. Nie ma się czego bać.

- *Vamonos* - Emilio dźgnął swojego wierzchowca piętami. - Ruszajmy.

Grace poklepała Mansa, który ruszył w ślad za ogierem. Wałach chód miał płynny, kołyszący. Poczula, jak opada z niej nerwowe napięcie. Prawdopodobnie była równie bezpieczna, jak gdyby siedziała w bujanym fotelu.

Wąska ścieżka, którą się posuwali, wspinała się zakosami na kamienisty stok. Grace mimowolnie podziwiała postać jadącego przed nią mężczyzny. Od razu widać, że pochodzi ze szlacheckiego rodu, który wydał rycerzy i konkwistadorów, pomyślała, wpatrując się w jego proste plecy, szerokie ramiona górujące nad smukłymi biodrami oraz... jego sprężyste pośladki. Kędzierzawe kosmyki hebanowych włosów kręciły się na jego opalonej szyi. Grace mogła niemal wyobrazić sobie jak gładzi je swoimi palcami, podczas gdy on...

Przegoniła te myśli. Snucie naiwnych marzeń do niczego dobrego nie doprowadzi. Prawda wyglądała tak, że ona, Grace, była dla Emilia użyteczna - to wszystko. Sprowadził do domu bratanka, a że zabrał przy okazji i ją, nie musiał już tracić czasu na szukanie niani. Sam przecież nie zająłby się niespełna rocznym dzieckiem.

Dotarli do szerszej drogi przecinającej łagodnie zbocze. Poniżej otwierał się widok na szeroką dolinę, która zdawała się trzymać w zielonych objęciach ciemną wstęgę życiodajnej rzeki. Nad wodą rozsiane były wioski i pojedyncze farmy - domy wyglądały z tej wysokości jak klocki. Na kamiennych tarasach, wyciętych w stokach niczym stopnie gigantycznych schodów, pasły się

zwierzęta. Grace widziała rude, spokojne krowy, całe stada białych owiec, a także, gdzieś tam, sympatyczne szare osiołki.

- Cudowny widok - szepnęła.

- Patrzysz na Świętą Dolinę Inków - powiedział Emilio. Na tych tarasach były uprawne pola.

Spoglądała w głąb doliny.

- Jak ludzie mogli zbudować coś takiego bez użycia maszyn?

- Nikt tego nie wie. Inkowie byli doskonałymi inżynierami i budowniczymi. Zobaczysz więcej ich dzieł w Cusco. A któregoś dnia zabiorę cię do Machu Picchu.

- Widziałam je na zdjęciach. Oglądane w rzeczywistości musi być niesamowite. - Grace podniosła kapelusz i pozwoliła powiewowi wiatru ochłodzić twarz. Wałach chlasnął ogonem muchę. Jej nerwy napięły się przy tym nagłym ruchu, ale strach trzymała w ryzach. Znow siedziała w siodle, i to było wspaniałe uczucie.

- Chcę, żebyś tutaj została, Grace - odezwał się Emilio. - Możesz mieć tutaj piękne życie, pracując nad swoją sztuką i obserwując, jak Zak dorasta. Czego chcesz więcej?

Chciałabym żyć z kimś, kogo bym kochała, i mieć własną rodzinę, odpowiedziała mu w myślach, jednak nie powiedziała ani słowa Nie było sensu dzielić się marzeniem, o którym wiedziała, że nie może się spełnić.

- Co ty na to? - zdziwił się, gdy zwracając się ku niej, ujrzał chłód w jej spojrzeniu..

- Myślę, że jest jeszcze za wcześnie na odpowiedź. Jeśli zostanę tutaj, nie rozstanę się z Zakiem. Potrzebuję jednak czasu, żeby podjąć mądrą decyzję. Mam nadzieję, że to rozumiesz. - Grace już wiedziała, że właściwie wyklucza wszystkie inne opcje poza pozostaniem. Jednak Emilio nie musiał tego wiedzieć. Sugestia, że mogłaby się ubiegać o częściową opiekę nad Zakiem lub nawet starać się z nim wrócić, była jej jedyną kartą przetargową.

- Możesz zastanawiać się tak długo, jak będziesz potrzebowała. - Prowadził ich teraz krętą drogą wzdłuż stoku w stronę wioski. Od czasu do czasu zatrzymywał się, żeby pokazać jej ptaka, kwitnące drzewo czy rzeźbiony kamień sterczący z ziemi. Wszedł w rolę przewodnika - miłego, ale zachowującego dystans.

Wioska była mała, tworzyła ją garstka glinianych zabudowań, połączonych brukowaną ulicą. Mimo to była ruchliwym miejscem. Na podwórzach widać było tkające niewiasty. Dzieci ubrane w czysty szkolne mundurki spieszyły w stronę przystanku autobusowego. Wałęsający się osioł wyskubywał spośród kamieni żdźbła trawy.

- Wszędzie, gdzie spojrzę, widzę coś, co chciałabym namalować - pomyślała na głos Grace.

- A prawie nic jeszcze tu nie widziałas. - Emilio zwolnił, żeby przepuścić

stado gęsi człapiących przed nimi w poprzek dogi. - Artystka taka jaka ty miałaby tutaj nieskończone źródło inspiracji.

To była prawda, przyznała w duchu Grace.

Dwóch mężczyzn w tradycyjnych strojach niespiesznie szło w stronę otwartych drzwi domu, przed którym skrawek czerwonego materiału powiewał na słupie.

- Czerwona flaga przy domu oznacza, że kobieta uwarzyła świeżą porcję *chicha* - wyjaśnił Emilio. - Sprzedają je na szklanki.

To coś w rodzaju straganu z lemoniadą, który pamiętam z czasów dzieciństwa. Miałabym ochotę na chłodny napój. Czy jest dobry?

Emilio zachichotał.

- Jest zrobiony z fermentowanej kukurydzy. Nie będę wchodził w szczegóły procesu jego wytwarzania, ale wierz mi, to swoisty smak.

- Och! - Grace zebrała włosy z tyłu głowy i poprawiła kapelusz. - Naprawdę powinnam już wracać do Zaka. On nie jest przyzwyczajony do przebywania beze mnie.

- Dobrze. Czeka na mnie góra papierkowej roboty, więc też powinien już wracać. W domu mamy w bród zimnej wody mineralnej.

Emilio zawrócił ogiera w kierunku hacjendy. Grace podążała za nim na Mansie. Jazda na łagodnym koniu była pozytywnym doświadczeniem, ale bez przesady. Na pewno poczuje ulgę, gdy postawi stopy z powrotem na twardym gruncie.

Ciągle nie opuszczało jej wrażenie, że brak natychmiastowej odpowiedzi na pytanie Emilia spowodował, że miał mniejszą ochotę na spędzanie z nią czasu. Czy dlatego, że Grace okazała się mniej uległa, niż oczekiwał? Co ją to może obchodzić? Zresztą Emilio też ma pilniejsze sprawy od zabawiania jej. Jest po prostu uprzejmym gospodarzem.

Wdrapali się na szlak i skierowali w dół stoku między drzewami. Grace usłyszała odgłosy zabawy, dziecięce krzyki i śmiech.

- To jakiegoś dzieci ze wsi - powiedział Emilio. - O, tam są.

Grace między drzewami udało się dostrzec dwóch obdartych podrośniętych chłopców. Uzbrojeni w proce, wydawali się polować na ptaki. Jednak, gdy zauważyli jeźdźców, prędko pobiegli w kierunku szlaku.

- *Señior... señorita... por favor!* - Wyciągali brudne ręce.

- Nie zwracaj na nich uwagi - mruknął Emilio. - Jeśli nauczą się zebrać, nigdy nie zaczną pracować i skończą jako złodzieje.

To była rozsądna rada. Gdy mijali dwóch obdartusów, Grace odwróciła głowę. Ale gdyby miała przy sobie jakieś pieniądze, rzuciłaby je małym nieszczęśnikom. Niestety, nic nie mogła zrobić. Nawet w tym pięknym kraju bieda była wpisana w krajobraz.

- Emilio? - zawołała go, chcąc spytać o scenę, której byli świadkami.

Odwrócił się na dźwięk swojego imienia. Wtem zamarł, patrząc za nią.

- Nie! - krzyknął.

Gdy Grace zerknęła za siebie, zobaczyła jak jeden z chłopów naciąga właśnie gumkę swojej procy, żeby strzelić kamieniem wielkości jajka. Kamień ze świtem przeciął powietrze i uderzył w nogę Mansa.

Przerażony wałach zarżał, stanął dęba i poniósł. Zaskoczona Grace straciła panowanie nad uzdą i wysunęła się z siodła. Złapała się kurczowo końskiej grzywy i tylko to uratowało ją przed roztrzaskaniem o ziemię.

- Trzymaj się! - Mimo oszołomienia i przerażenia jej mózg zarejestrował to jedno polecenie. Manso pędził na oślep przed siebie. Grace objęła ramionami krzepką szyję konia. Kurczowo trzymała się życia, przywierając do siodła kolanami. Gałęzie i krzaki drapały jej skórę, kiedy koń gnał w dół zalesionego stoku.

Czy to Emilio wołał jej imię? Czy to on pędził za nią z tyłu jak burza na wielkim palomino, czy słyszała tylko wiatr i łomotanie własnego serca? Spojrzenie do tyłu było zbyt ryzykowne - mogłaby rozluźnić uścisk, zsunąć się z konia, który by ciągnął ją za sobą lub zgniółł.

Do jej uszu dotarł szum płynącej wody. Rzeka musiała być już w pobliżu. Gdyby koń skoczył do wody z urwiska, mogłoby się to skończyć śmiercią zarówno dla niej, jak i dla wierzchowca. Czy odważyłaby się zsunąć wcześniej na ziemię? Jej niesłabnący uścisk szyi Mansa był odpowiedzią na to pytanie. Była w stanie tylko kurczowo trzymać się rumaka.

- Grace! - usłyszała głos Emilia i poczuła bliskość ogiera, kiedy zbliżyli się na tyle, że Emilio mógł chwycić ją za pas. - Trzymam cię! Puść się!

Grace walczyła z instynktem, który kazał jej nie wypuszczać z objęć konia. Musiała jednak zaufać mężczyźnie, bo od tego zależało jej życie.

- Grace, puść się! Teraz! - Żelaznym uściskiem objął jej talię. Zbierając resztki odwagi, Grace rozluźniła uchwyt wokół szyi Mansa. Emilio wyszarpnął ją z siodła.

Jeden z jej sandałów, utknął w strzemieniu. Wykręciła bosą stopę, uwalniając ją. Manso tuż przed urwiskiem skręcił i pomknął w stronę domu. Przez jeden potworny moment zawisała w ramionach Emilia, który ściągnął lejce, żeby zatrzymać ogiera. Kiedy Emilio rozluźnił uścisk, udało jej się zsunąć po boku konia na ziemię.

- Wszystko w porządku? Nic ci nie jest? - Emilio puścił lejce i wysunął się z siodła.

- Ja... nie wiem. - Grace była zbyt oszołomiona, żeby ustać na nogach. Osunęła się na kolana.

Zeskoczył z konia, pochylił się nad nią i ujął pod brodę. Z niepokojem wpatrywał się w jej twarz.

- Nie ma łez. To dobry znak czy zły?

Grace potrząsnęła głową. Nie znajdowała słów, które mogłyby wyrazić jej przerażenie. Ale teraz czuła się w dziwny sposób uwolniona od tego, co się

właśnie wydarzyło. Miała wrażenie, jak gdyby to nie działo się naprawdę, jak gdyby to była tylko scena z filmu. Straszna... ale nie całkiem rzeczywista.

- Musimy wrócić jakoś do domu. - Objął ją i bez wysiłku postawił na nogi. - Będziemy musieli pojechać razem. Nie dasz rady przejść takiego dystansu bez jednego buta.

Grace stała otoczona jego ramionami, drżąc. Ledwo panowała nad sobą. Z wysiłkiem zaśmiała się krótko i odezwała.

- Biedny stary Manso. Nie miał pojęcia, co go uderzyło. Musiał być śmiertelnie przerażony.

- Z Mansem wszystko będzie dobrze, kiedy się uspokoi. To o ciebie się martwię. - W jego spojrzeniu były troska i ciepło.

- Nie martw się. Ze mną też wszystko będzie dobrze. - Wbrew swym słowom nie czuła się dobrze. Pierwszy szok minął i teraz wydawało jej się, jakby rozpadała się na kawałki. Zrobiło jej się zimno, zaczęła szlochać.

- Już po wszystkim, Grace. - Poglaskał ją delikatnie. Kiedy to nie pomogło, przygarnął ją i przycisnął mocno do piersi. - Już wszystko dobrze, *niña*. Jesteś bezpieczna. Śmiało, możesz teraz płakać.

Grace zamknęła oczy i usiłowała zatopić się w jego kojącej sile. Łzy przyniosłyby jej ulgę, ale nie chciały płynąć. Trzęsła się z nerwów, jak jeszcze nigdy dotąd.

- Tak bardzo... mi przykro - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Czuję się jak głupia...

- Bardzo dzielna głupia - szepnął, głaszcząc ją po policzku. - I wyjątkowo piękna.

Grace nie potrafiłaby wyjaśnić, co się dalej stało. W głowie nadal jej się kręciło, czuła chłód w całym ciele... a on emanował ciepłem, siłą i bezpieczeństwem. Zanim zdała sobie sprawę, co robi, już podnosiła głowę, odnajdując jego wargi w pocałunku. Odpowiedział, biorąc w posiadanie jej usta. Wezbrała w niej niespodziewana, potężna fala gorąca. Nigdy jeszcze nie czuła takiego uniesienia jak to, któremu poddała się, gdy przytulił ją do twardej jak skała piersi. Nie zdawała sobie też sprawy, jak bardzo potrzebowała tego, co ten mężczyzna jej ofiarowywał.

Bez namysłu otoczyła ramionami jego szyję i przyciągnęła go blisko, by ich pocałunek trwał, jakby się miał nigdy nie skończyć. Przed chwilą Grace nie mogła się uspokoić po strasznej przygodzie. Teraz płonął w niej ogień.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Emilio z trudem odsunął się od Grace, oszołomiony smakiem jej ust. Nie spodziewał się tego pocałunku. Ale zrobili ten krok i - przynajmniej teraz - Emilio nie miał czego żałować. Apetyczne krągłości Grace Chandler wpasowały się w jego muskularne ciało, jak gdyby były specjalnie w ten sposób zrobione. Miękkie ciepło bijące od niej było jak gorąca czekoladowa polewa na lodach.

Od razu ogarnęło go podniecenie. To by było tyle, jeśli chodzi o traktowanie Grace jak siostry. Zbyt dobrze siebie znał, żeby nie zdawać sobie sprawy ze swoich instynktów. Wcześniej czy później, bez względu na konsekwencje, będzie miał tę kobietę w swoim łóżku.

Jednak teraz przede wszystkim musiał zwieźć ją do domu. Była bardzo wystraszona, może nawet ranna. Mimo że to ona zainicjowała ten pocałunek, jej obecny stan nie pozwalał mu puścić wodzy namiętności. Pożądanie będzie musiało poczekać.

Z ukłuciem żalu zrobił krok wstecz. Jej policzki były zarumienione, usta wilgotne i lekko nabrzmiałe. Z trudem powstrzymał się przed przyciągnięciem Grace do siebie raz jeszcze i kontynuowaniem tego, co przerwali.

- Grace, czy dobrze się czujesz? - Biorąc pod uwagę to, jak wyglądała, pytanie było niedorzeczne. Przez chwilę przyglądała mu się zamglonymi z pożądania oczami. Nagle zaszła w niej jakaś zmiana. Wyprostowała się, splotła ramiona i spiorunowała go spojrzeniem, którego nie powstydziliby się panna Benedicte.

- Tak, znakomicie - powiedziała. - Ale to, co się właśnie stało, było pomyłką.

Uniósł brwi. Powstrzymał się od przypomnienia jej, że to właśnie ona zaczęła pocałunek. Z jej oczu mógł wyczytać, że prowadziłyby to tylko do kolejnego spięcia.

- Mam wrażenie, że podobało ci się to tak bardzo jak mnie - zauważył niewinnie.

Jej spojrzenie pociemniało.

- Przyjechałam tutaj, żeby podjąć decyzję, co będzie najlepsze dla Zaka. To wszystko. Jeśli chodzi o ciebie i o mnie, nic się nie wydarzyło. Jasne?

- Jasne. - Bogate doświadczenie nauczyło go, kiedy walczyć, a kiedy się wycofywać. Teraz był czas na oddanie pola, ale to nie znaczyło, że wojna nie zostanie wygrana.

Przyjdzie chwila, gdy Grace Chandler odszczeka to, co powiedziała. Na razie jednak przede wszystkim musieli wrócić do domu. Grace przeżyła szok, i, co gorsze, prawdopodobnie była kontuzjowana.

- Wygląda na to, że poczciwy Manso chwilowo wybrał wolność. Na szczęście mój wierzchowiec z łatwością uniesie nas oboje.

- Mam wsiąść na twojego konia? - Grace spojrzała na wielkiego ogiera i poczuła, że brak jej tchu.

- Jeśli nie masz ochoty kuśtykać do domu bez buta i na skręconej kostce, nie widzę innego wyjścia.

Czując się, jakby miała dosiąść ziejącego ogniem smoka, Grace wzięła Emilia za rękę i pozwoliła, żeby podsadził ją na siodło. Sam usiadł przed nią, więc nie miała innego wyjścia, jak objąć go w pasie.

Ruszyli. Chód konia był delikatny, jednak Grace czuła niebezpieczną siłę ogiera. Kiedy patrzyła na dół, kręciło jej się w głowie, przyłgnęła więc mocniej do solidnych, męskich pleców. Pewność, z jaką Emilio kierował wierzchowcem, dawała poczucie bezpieczeństwa, a ciepło jego ciała rozgrzewało jej krew i upajało zmysły.

Stop, powiedziała sobie zdecydowanie. Jeśli miała chociaż odrobinę rozsądku, musiała powstrzymać to uczucie. Już przecież popełniła idiotyczny błąd, który nie mógł się znowu powtórzyć.

Jej status w domu Emilia był delikatną sprawą. Nie chciała, by zaliczono ją do służby, jako wynajętą nianię, nie chciała też zostać kochanką pana domu. Pragnęła szacunku i prawa do głosu w sprawie wychowania Zaka. Chciała być uważana za matkę chłopca i tak traktowana, ale tę pozycję musiała wypracować swoją postawą.

- Ciągle jeszcze boisz się mojego ogiera? - odezwał się nagle Emilio.

- Tylko troszkę - skłamała.

- Powiedziałaś, że miałas kiedyś wypadek na koniu. Co się wtedy stało? Zawahała się. Rozmowa o tym okropnym dniu zawsze była bolesna.

- Chcę cię poznać, Grace. Będzie to łatwiejsze, jeśli opowiesz mi coś o sobie.

- Czy ty też pozwolisz mi się poznać, Emilio Santana? - spytała. - Jak na razie niewiele o tobie wiem.

- To nie fair, odpowiadać pytaniem na pytanie - zaproponował. - Ja byłem pierwszy. Grace westchnęła.

- W porządku. Miałam wtedy piętnaście lat i byłam zapaloną amazonką. Podczas Tygodnia Rodeo zostałam wybrana do jazdy ze sztandarem naszego klubu jeździeckiego w paradzie otwierającej imprezę. Mój koń akurat miał kontuzję, więc pożyczyłam innego, wielkiego gniadosza, ze stajni właściciela. Ktoś z tłumu rzucił petardę pod brzuch konia. - Głos jej się załamał. - Biedny gniadosz oszalał ze strachu, stanął dęba. Nie utrzymałam się w siodle. Kiedy spadłam, stratował mnie.

- *Ay, Dios mio!* - Emilio był poruszony. - Dobrze, że uszłaś z życiem.

- Miałam wiele obrażeń i krwawiłam wewnątrz. Natychmiast przewieziono mnie do szpitala i chirurg, który był na dyżurze, uratował mi życie. - Niestety, nie udało mu się uratować wszystkiego, dodała w myślach. Ta część historii była zbyt osobista, żeby się nią podzielić. - Spędziłam w szpitalu

dwa tygodnie - podjęła. - A w tym czasie moja mama i mój doktor zakochali się w sobie. To był ojciec Cassidy. Zyskałam siostrę. I... Zaka.

Emilio nie odpowiedział od razu. Jechali w milczeniu; Grace czuła pod swoją dłonią mocne, rytmiczne uderzenia jego serca.

- Pewnie rzeczy nie dzieją się bez powodu - odezwał się wreszcie.

- Wiem - powiedziała poważnie. - Niezbadane są wyroki losu. Moja matka i ojczym nie żyją, odeszła też Cassidy. Zak jest całą rodziną, jaką mam. Nie zostawię go. Nie mogę.

- Nie spodziewasz się chyba jednak, że ja się go wyrzeknę? - odparł cicho. - Nasz los jest zadziwiająco podobny, Grace. Moi bracia i rodzice nie żyją. Zak jest moim jedynym żyjącym krewnym.

- Na pewno się ożenisz. Będziesz miał dzieci.

- *Quizdas*. Ale żadne z nich nie będzie synem mojego brata. Arturo uosabiał to, co najlepsze w naszej rodzinie; był silny, wyrwały i mądry. Mnie obchodziła tylko zabawa. Jeśli ktoś ma prawo do owoców ciężkiej pracy mojego brata, to przede wszystkim jego syn. On powinien odziedziczyć Urubambę.

Wyjechali spośród drzew na tyły posiadłości. Manso, ciągle osiodłany, pał się w pobliżu stajni. Sandał Grace zwisał z jednego ze strzemion.

Emilio zatrzymał konia, zeskoczył i wyciągnął ręce do Grace. Stała na ziemi i zachwiała się, a jej twarz wykrzywił grymas bólu.

- Wydaje mi się, że nie dam rady iść - powiedziała przeprasząco.

- Nie możesz stawać na tej nodze. Chodź, zaniosę cię do domu i zobaczymy, co jest nie tak z twoją kostką. Koźmi zajmie się stajenny. - Wziął ją na ręce bez najmniejszego wysiłku, jak gdyby niósł dziecko.

Grace otoczyła jego kark ramionami.

- Imponujące - uśmiechnęła się. - Nie jestem kieszonkową kobietą, muszę ważyć dobre sześćdziesiąt kilo!

- Jesteś pod wrażeniem, tak? Myślałaś, że przez całe życie nie podniosłem nic cięższego niż kieliszek od szampana? - Jego wargi muskały jej włosy, gdy mówił. Czuła ciepło jego oddechu i zapach czystego męskiego potu. Zamknęła oczy, smakując tę chwilę. O bólu kostki prawie zapomniała.

- Nie wiem, co sobie wyobrażałam. Wszystko, co o tobie wiem, przeczytałam w tabloidach. Jaki jesteś naprawdę? - zapytała sennie.

- Prawda jest taka, że lubię się bawić. Ale są rzeczy, które traktuję poważnie, jak rodzinę i przyjaciół.

- A jak traktujesz kobiety? - chciała wiedzieć.

- Kobiety? - zaśmiał się. - Ich towarzystwo sprawia mi przyjemność, więc w zamian staram się sprawić przyjemność im. To proste. Nasz pocałunek też był przyjemny, jak łyk wyśmienitego wina.

- Ten pocałunek był pomyłką - powiedziała z żalem. - Życie to więcej niż przyjemności. Jest za krótkie, żeby popełniać błędy.

- Nie przejmuj się tak. - Zbył jej tyradę wzruszeniem ramion. - Trzeba umieć

docenić proste przyjemności, panno Chandler. W końcu to był tylko pocałunek. Bez zobowiązań, jak to mówią.

Grace próżno szukała zabawnej riposty, niestety nic nie przyszło jej do głowy. Milczała więc. Och, gdybyż życie było takie proste... ale przecież nie sprowadzało się ono do przyjemnego tu i teraz.

- Jesteśmy. - Doszli do brzegu basenu. Emilio posadził ją w ocienionym fotelu i podłożył poduszkę pod jej kostkę. - Nie martw się. Zaraz wrócę.

Musiała na chwilę odpłynąć, bo wydawało jej się, że Emilio wrócił niemal natychmiast. Trzymał kosz, w którym zobaczyła bandaże i słoiczek z terakoty, zamknięty drewnianym korkiem. Była tam też butelka wina i smukłe, kryształowe kieliszki.

- To z winnic Santanów - powiedział, nalewając rubinowego płynu do jednego z kieliszków. - Działa lepiej niż środki przeciwbólowe.

Grace, chętnie wzięła kieliszek, bo kostka pulsowała niemiłosiernym bólem. Rzeczywiście, wino było doskonałe. Jego smak powodował ciepłe mrowienie na języku. Zupełnie jej pocałunek Emilia...

Westchnęła, czując dotyk jego dużych, pewnych dłoni. Ostrożnie badał kontuzjowane miejsce.

- Nie wiedziałam, że sam będziesz się tym zajmował - zdziwiła się.

- Nic się nie bój, mam wprawę. Dotąd, co prawda, zajmowałem się opatrywaniem koni, ale jestem w tym dobry, więc i z tobą sobie poradzę. - Puścił do niej oko.

Grace pociągnęła kolejny łyk wina, patrząc, jak Emilio wprawnymi ruchami wciera w bolące miejsce czarną, kleistą maź ze słoiczka.

- Wuj Dolores to przygotowuje - wyjaśnił, dostrzegając jej pytające spojrzenie. To *curandero*, czyli uzdrowiciel. Jest naprawdę dobry w swoim fachu.

- Co to za mikstura? - Grace poczuła, że jej kostkę ogarnia przyjemny chłód. Ból złagodniał wyraźnie.

Emilio wzruszył ramionami.

- Korzeniówka pospolita, sparzone liście koki. Bóg wie, co jeszcze. Nie pytałem. Najważniejsze, że jest skuteczna.

Zaczął owijać jej nogę bandażem. Grace poddała się pieścizom jego dłoni. Jego ciemna głowa pochylona była nad jej nogą tak nisko, że prawie mogła jej dotknąć. Co by zrobił, gdyby sięgnęła i powiodła koniuszkiem palca po krawędzi małżowiny jego ucha? Na samą myśl oblała ją niepokojąca fala ciepła.

Poruszyła się nerwowo.

- Muszę wrócić do Zaka. Myślisz, że mogę już chodzić?

- Tak, jeśli będziesz ostrożna. - Zawiązał końce bandaża i wstał. - Zak śpi tu na dole, u dziewcząt, więc mogłabyś jeszcze trochę odpocząć. Przyniosę twój but. - Podniósł pusty kieliszek, który postawiła na tacy. - Nalać ci jeszcze?

- Tylko odrobinę.

- Zostań tutaj i trzymaj nogę w górze. To rozkaz. - Podał jej napełniony kieliszek i poszedł w kierunku stajni.

Z uczuciem lekkości w głowie Grace sączyła swoje wino. Ogromny basen połyskiwał głębokim błękitem, szum wody w fontannie brzmiał jak kołysanka. Patrząc na pustą trampolinę, wyobraziła sobie Cassidy stojącą na jej brzegu, jej smukłe, cudownie zgrabne ciało w zielonym bikini, jasne włosy lśniące w słońcu. Niemal widziała, jak siostra z nieobecny uśmiechem podnosi ramiona, wykonuje perfekcyjny skok i znika pod powierzchnią wody.

Zdołała odstawić kieliszek na stolik, zanim pogrążyła się we śnie.

Emilio wrócił dwadzieścia minut później. Przyniósłby sandał o wiele prędszej, gdyby nie to, że w stajniach zastał dziwną sytuację. Kiedy przyszedł, oba konie w dalszym ciągu były nierozsiodłane. Fermina, młodego stajennego, nigdzie nie było widać. Zirytowany, zamierzał go poszukać, kiedy usłyszał jednoznaczne odgłosy dobiegające ze stryszku, gdzie składowano siano. Fermin znów cieszył się damskim towarzystwem. Emilio zacisnął zęby.

Przez chwilę rozważał pomysł, żeby kazać mu natychmiast zejść, ale zrezygnował. Nie chciał upokarzać biednej dziewczyny, która prawdopodobnie, święcie wierzyła, że przeżywa wielką miłość. Kazał pan, musiał sam, pomyślał sentencjonalnie, i zabrał się za oporządzanie koni. Na zakończenie obiecał sobie, że zanim nastanie wieczór, bezczelny stajenny opuści posiadłość na dobre. Zarówno on, jak i jego młodszy brat Pablo, który zajmował się koszeniem trawy i czyszczeniem basenu, mieli już na swoim koncie żółte kartki. Jeśli nie potrafili utrzymać w pracy zapiętych rozporków, najwyższy czas, żeby poszukali sobie bardziej pobłażliwego pracodawcy lub rozpoczęli nową karierę żigolaków.

Kiedy konie były już wyczyszczone i napojone, Emilio wrócił nad basen. Grace spała. Z zamkniętymi oczami, odprężona, wyglądała bezbrinnie jak dziecko. Znał wcześniej wiele kobiet bardziej efektownych niż ta, ale żadna z nich nie była tak bardzo... prawdziwa. Grace niczego nie udawała, nie grała żadnej roli, nie nosiła maski. Była po prostu sobą - lojalna, kochająca, otwarta i pełna czułości.

Jego spojrzenie zatrzymało się na jej pełnych wargach. Pokusa, żeby pochylić się nad nią i dotknąć jej ust, była niemal nie do odparcia. Ale się przemógł. Twierdziła przecież, że ich pocałunek był błędem. Na pewno wpadłaby w gniew, gdyby chciał ten błąd powtórzyć, wykorzystując chwilę, gdy spała. Nic straconego, pocieszał się. Poczekaj cierpliwie i przyjdzie taki dzień, kiedy ta uparta kobieta zmieni zdanie.

Nalał wina do opróżnionego przez nią kieliszka i usiadł na krześle obok niej. Sam nie wiedział, dla-zego tak było, ale miał ochotę czuwać nad jej snem. Nie wiedział, ile czasu upłynęło, gdy nagle odgłos pospiesznych kroków wyrwał go z zamyślenia. Eugenia zbliżała się ku nim, niosąc w ramionach Zaka, zasp-

nego i wyraźnie nie w humorze.

- Myślę, że maluszek chce do swojej mamy - powiedziała po hiszpańsku. - Nie przestaje marudzić, a Dolores potrzebuje nas w kuchni.

W tym momencie Zak wypatrzył Grace.

- Mama! - zagruchał, wyciągając ku niej rączki.

Emilio westchnął.

- Daj mi chłopca. Zajmę się nim, dopóki ona się nie obudzi.

Posadził sobie malca na kolanach. Zak przyglądał mu się podejrzliwie, a jego dolna warga wyginała się w podkówkę. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej trzymał dziecko. Wrażenie było dosyć niepokojące, ale postanowił nie tracić ducha. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby okiełznać to małe, nieprzewidywalne stworzenie.

- No cóż, Zak - powiedział po angielsku, uśmiechając się nieco sztucznie. - Wydaje mi się, że już czas, żebyś zapoznał się ze swoim stryjem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Chłopiec patrzył za oddalającą się dziewczyną, a kiedy zniknęła, znieruchomiał, wyraźnie skonsternowany.

- Wszystko jest w porządku, mój zuchu. - Emilio objął malca ramieniem, a ten zadarł głowę. Czekoladowe oczy, wielkie i okrągłe jak spodki, spojrzały badawczo na dorosłego mężczyznę. Niepokój ustąpił ciekawości i chłopiec uśmiechnął się nieśmiało.

Świetnie. Tylko co dalej? Za moment dzieciak się znudzi i zacznie beczeć. Emilio rzucił okiem na Grace. Spała, zwinięta w miękkim fotelu jak kotka. Po raz pierwszy widział ją całkowicie odprężoną. Głęboki, spokojny oddech unosił jej piersi, w kąciku ust igrał leciutki, bezwiedny uśmiech. Choć uważał się za człowieka bezkompromisowego, poczuł, że nie ma śmiałości jej budzić.

- Mama! - Zak nie miał podobnych skrupułów. Kiedy tylko zauważył znajomą postać, jęknął rozdzierająco i targnął się ku niej całym ciałem. Emilio z trudem utrzymał go w ramionach.

- Ciiicho! - Przytulił chłopca mocniej i zakołysał. - Mama śpi. *Déjala en paz.*

Malec umilkł posłusznie, ale bródka zaczęła mu drzeć, grożąc wybuchem płaczu. Czym można zająć niemowlę? Emilio bezradnie rozejrzał się dookoła. I wpadł na genialny pomysł.

- Chcesz pójść ze stryjem i obejrzeć koniki? - Wstał, usadził malca na biodrze i, nie czekając na jego reakcję, ruszył ku ogrodzeniu, za którym pasły się jego wspaniałe pasos. Najwyraźniej podziałało; chłopiec uspokoił się i tylko ciche posapywanie świadczyło o tym, jak bardzo był przejęty spodziewaną atrakcją.

Klaczę, z daleka dostrzegłszy zbliżającego się Emilia, wdzięcznym, niespiesznym klusem przybiegły do drewnianego płotu. Po chwili tłoczyły się przy nim, unosiły łby i strzygły uszami. Emilio zwolnił kroku, żeby dziecko oswoiło się z widokiem wielkich zwierząt z bezpiecznego dystansu. Dopiero kiedy Zak niemal wyrwał się z jego objęć, wyciągając rączki w kierunku zwierząt i wydając entuzjastyczne okrzyki, uznał, że ostrożność jest już zbędna. Gdy podeszli do samego ogrodzenia, pozwolił chłopcu dotknąć białej strzałki nad pyskiem najbardziej ciekawskiej klaczy. Zwierzę parsknęło, opryskując chłopca chmurą ciepłej wilgoci, a ten zaśmiał się w głos.

Emilio zawtórował mu głośno, radośnie. Jego pierś wypełniała jakaś lekka, upajająca emocja. Dopiero po chwili zrozumiał z zaskoczeniem, że to jest duma. Jego mały bratanek nie skończył jeszcze roku, a już kochał konie.

- Moja krew! - Wiedziony impulsem, pocałował chłopca w pulchny, pachnący mlekiem policzek. - Od razu widać, że prawdziwy z ciebie Santana. Chodź, pokażę ci, który koń jest najszybszy...

Grace powoli otworzyła oczy. Miała pogodne, niewiarygodnie błękitne niebo nad głową, i, po raz drugi tego dnia, dręczące poczucie, że zupełnie nie wie, gdzie się znajduje. Dobiegający z oddali chichot Zaka, zakończony pełnym zachwytem wizgiem, poderwał ją na nogi, a gdy ostry ból przeszył jej kostkę, gwałtownie wróciła do rzeczywistości.

Emilio z Zakiem w ramionach stał tuż przy ogrodzeniu pastwiska, a konie tłoczyły się po drugiej stronie, wyciągając ku nim łby. Nawet z tej odległości było widać, że chłopiec jest zafascynowany wielkimi zwierzętami i nie boi się ich ani trochę. Zresztą, dlaczego miałby się bać? Emilio trzymał go w mocnych, opiekuńczych objęciach, chodząc od jednego konia do drugiego i cierpliwie coś tłumacząc. Zak słuchał oczarowany, a kiedy stryj pozwalał mu pogłaskać miękkie chrapy któregoś wierzchowca, piszczał z przejęcia.

Przez długą chwilę Grace przyglądała się bez słowa mężczyźnie i chłopcu, dziwnie poruszona. Jakieś uczucie, coraz silniejsze, coraz bardziej dojmujące, dławiło ją w gardle, wyciskało łzy. Zak był tutaj u siebie w domu, wśród swoich, to się rzucało w oczy. Z daleka wyglądał jak miniaturka Emilia. A ona... cóż, ona tutaj po prostu nie pasowała. Mężczyzna i chłopiec byli rodziną, ona - tylko kimś, kogo życie postawiło na ich drodze przez przypadek. Odegra swoją rolę, a potem nadejdzie dzień, kiedy przestanie być potrzebna. Jej postać zacznie blaknąć, aż wreszcie zupełnie zniknie z rodzinnego portretu Santanów. Kiedyś nawet wspomnienie o niej się zatrze. Zak nie będzie przecież pamiętał czasu, który spędził z nią w Tuscon. Jego pierwsze wspomnienia będą związane z Urubambą, z domem ojca i stryja. Ona zapisze się w nich jako niania. Ktoś, kogo dziecko potrzebuje tylko przez pierwsze lata życia...

Potrząsnęła głową, wstała i zrobiła kilka kroków w stronę pastwiska, ostrożnie stając na wciąż obolałej nodze. Dostyc poddawania się smętnym myślom. Czyż nie lepiej cieszyć się chwilą? Znalazła się w przepięknym miejscu, Zak miał tutaj szansę na rozwój w warunkach, jakich ona sama nigdy nie zdołałaby mu zapewnić. A jego stryj... cóż, był naprawdę interesującym człowiekiem. Grace zdawała sobie sprawę, że rozpamiętywanie ich pocałunku, i, co gorsza, bawienie się naiwnymi wyobrażeniami o romantycznej przygodzie, która mogłaby ich połączyć, było straszną głupotą. Ale kiedy patrzyła na wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę o oczach koloru czekolady, zmysłowych ustach i silnych ramionach, zdolnych z łatwością ją unieść, po prostu nie mogła się powstrzymać. Zresztą, czy było coś złego w snuciu marzeń, skoro dobrze wiedziała, że nigdy nie będą mogły się ziścić?

- Zak uwielbia konie. - Emilio szedł ku niej po miękkiej trawie, kołysząc chłopca w rytm kroków z instynktowną swobodą, jakby od lat zajmował się niemowlętami. W jego głosie pobrzmiwała autentyczna duma. - Myślę, że niedługo przyjdzie pora, żeby dostał własnego kucyka.

Zak pisnął radośnie, zupełnie jakby zrozumiał, co stryj planuje. Grace

przewróciła oczami.

- Mam nadzieję, że kucyk nie pojawi się, zanim ten tutaj kawaler nie nauczy się dobrze chodzić - powiedziała, strojąc głos na srogi ton, jednak jej wargi zdrząły w uśmiechu. Zbyt dobrze pamiętała, jak strasznie chciała mieć własnego kuczka, kiedy była małą dziewczynką.

- Mama! - Zak uśmiechnął się od ucha do ucha i z zapalem wierzgnął nogami. Grace odruchowo wyciągnęła do niego rękę.

Chyba powinnam zabrać go na górę, do pokoju. Oboje musimy się przebrać przed obiadem.

Wystarczył jeden nieostrożny krok, żeby urażoną kostkę przeszył ostry ból. Grace zachwiała się, nie zdołała złapać równowagi. Na szczęście Emilio był tuż obok. Poczowała, że otacza ją silne, męskie ramię. Przez chwilę oboje - ona i Zak - znaleźli się w jego opiekuńczych objęciach. Żadne z trojga się nie odezwało. Magiczny moment minął, kiedy Grace odsunęła się, onieśmielona bliskością Emilia.

- Śmiało, oprzyj się o mnie - zachęcił, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli zaniosę Zaka na górę, a potem poproszę Dolores, żeby przyniosła wam obiad do pokoju. Oboje powinniście odpocząć po wrażeniach dzisiejszego dnia.

- Dzięki. To rzeczywiście dobry pomysł. - Przełamała zażenowanie i wsparła się na ramieniu Emilia. Jeśli chciała szybko wyleczyć kontuzję, nie mogła forsować nogi; wolała już narazić na szwank swoją dumę.

Co się ze mną dzieje, pomyślała, kuśtykając z wysiłkiem przez ogromny, wyłożony kamienną posadzką taras ku oszklonym drzwiom wiodącym do wnętrza domu. Gdzie podziała się jej siła, jej bezkompromisowa niezależność? Nie była przyzwyczajona do tego, żeby ktoś otaczał ją opieką. Dotąd to ona zajmowała się innymi - chorą Cassidy, maleńkim Zakiem... Dlaczego teraz, wobec tego mężczyzny, na którym chciała zrobić wrażenie kogoś, z kim należy się liczyć, okazała tak żałośnie, tak rozpaczliwie nieporadna?

Zacisnęła zęby, uniosła wysoko głowę i szła tak szybko, jak tylko była w stanie.

Pod nieobecność Grace w sypialni zaszły subtelne zmiany. Łóżko, które rano szybko przykryła narzutą, zostało pościelone gładziutko, jej ubrania z poprzedniego dnia zniknęły, zapewne zabrane do prania. Ze ściany prostopadłej do wejścia zdjęto gobelin, który, jak się okazało, zasłaniał duże, dwuskrzydłowe drzwi.

- Gdzie jest kołyska? - Grace zmarszczyła brwi. Mebelka, który poprzedniej nocy stał nieopodal jej łóżka, nigdzie nie było widać.

- Zapewne tam, gdzie jej miejsce. - Emilio, wciąż z Zakiem na rękach, podszedł do otwartych drzwi. - Prosiłem, żeby przygotowano nasz stary, dziecinny pokój. Widzę, że dziewczęta uwinęły się sprawnie; wszystko jest już

gotowe.

Grace ciekawie zajrzała do środka. Pokoik był uroczy. Przez duże okna, przesłonięte kolorowymi zasłonami, wpadały potoki światła, nasycając ciepłymi barwami wnętrze o harmonijnym, tradycyjnym wystroju, do którego dodano miłe dla oka akcenty: sznur kolorowych lampionów podwieszono pod drewnianym, belkowanym sufitem, na białych ścianach umieszczono duże zdjęcia koni, a podłogę z gładkich, ciemnych desek ozdobiły kolorowe dywany. Grace była zadowolona, że poza staromodnym koniem na biegunach, kolorowymi klockami i kilkoma pluszakami nie zobaczyła żadnych innych zabawek. Nie było tutaj żadnych krzykliwych, kiczowatych gadżetów, tak powszechnych w amerykańskich dzieciennych pokojach. O wiele bardziej korzystne dla chłopca będzie, jeśli inspiracji do zabaw poszuka w przyrodzie - a ta w Urubambie była naprawdę wspaniała. Kołyska z wysokimi, drewnianymi żerdkami stała pomiędzy wnękami okiennymi, a w rogu, obok małej umywalki, umieszczono przewijak zaopatrzony we wszystko, co potrzebne, żeby utrzymać niemowlę w czystości. Ubranka Zaka ułożono na półkach przestronnej, pomalowanej na biało szafy.

- Zgadnij, kto był poprzednim lokatorem tego pokoju - zagadnął Emilio z uśmiechem.

- Ty? - Grace spróbowała wyobrazić sobie tego wysokiego, silnego mężczyznę jako niemowlę w śpioszkach, ze smoczkiem w buzi, i parsknęła śmiechem.

- Owszem, ja. Wcześniej spał tu Arturo, a przed nim Roberto, najstarszy brat, który był chory i zmarł w dzieciństwie. Zak będzie spał w tej samej kołysce co jego ojciec.

- To znaczy, że mnie umieściles w sypialni twoich rodziców? - stropiła się Grace.

- Mówiąc ściśle, w sypialni mojej mamy - poprawił ją. - Tata sypiał... gdzie indziej.

- Byli w separacji? - wyrwało jej się, zanim pomyślała, że może nie powinna zadawać tak wścibskich pytań.

- Nie, skąd. - Emilio wyraźnie nie czuł się skonsternowany tematem. - Taki po prostu mieli sposób na życie. Ona ceniła sobie prywatność, a on swobodę. Moja matka była niezwykle piękną kobietą - dodał, sadzając Zaka na bujanym koniku. - Jesteś pierwszą osobą, która śpi w jej pokoju, odkąd umarła.

Grace zerknęła ku wyjątkowemu wnętrzu, w którym spędziła ostatnią noc. Pod sufitem biegły rzeźbione gzymsy, z belkowanego sufitu zwisał rozłożysty żyrandol, zdobiony mnóstwem kryształowych kropel.. Na rzeźbionej toalecie z wielkim lustrem na pewno stały kiedyś flakony perfum i pudernice, w inkrustowanych masą perłową szufladach spoczywały klejnoty warte fortunę, a szafy pełne były luksusowych kreacji. Po jej plecach przebiegł chłodny dreszcz. Taki jest urok mieszkania w starych rezydencjach, pomyślała. Niemalże czuje się

obecność duchów ludzi, którzy tutaj żyli i...

Rzuciła zaniepokojone spojrzenie na łożo.

- Czy twoja mama umarła...?

- Czy umarła w tym łóżku? - dokończył za nią Emilio. - Nie. Umarła w Limie. W cudzym łóżku, jeśli chodzi o ścisłość.

- Och - stropiła się.

- Nie winię jej za to - powiedział Emilio lekko. - W pewnym momencie mama pogubiła się w życiu. Może nie wiedziała, jak poradzić sobie z perspektywą nadchodzącej starości? Zaczęła szukać sensu życia w... niewłaściwych miejscach. Prawda jest taka, że stał się moich rodziców, delikatnie mówiąc, nie stanowiło wzoru małżeńskich cnót. Chyba żadne z nich nie potrafiło stworzyć trwałego związku. Niestety, ta historia nie skończyła się happy endem.

Grace nie odpowiedziała. Przez długą chwilę ciszę przerywało tylko posapywanie Zaka, który huśtał się z zapalem, wczepiony w grzywę konia na biegunach. Czy rzeczywiście jest to historia bez happy endu? - zastanowił się nagle Emilio. Wszystko wskazywało na to, że rodzina Santanów przetrwa, pomimo prób, na jakie wystawił ją los. W pokoju dzieciennym zamieszka syn Artura, zdrowy, silny i bystry chłopiec, a w pustym od lat buduarze - wspaniała kobieta, która była jego matką w każdym sensie, poza tym czysto biologicznym. Emilio z przyjemnością przesunął wzrokiem po smukłej, kształtnej sylwetce Grace. Dopasowane dżinsy podkreślały jędrność jej krągłych pośladków, zmysłowy łuk bioder i gibkość talii. Włosy opadały ciemnozłotą chmurą na jej proste ramiona, zadziwiająco mocne mimo swojej delikatności, a pod białym materiałem koszuli rysowały się strome, dziewczęce piersi.

Diablos, ależ ona była ponętna. Gdyby nie chłopiec... jeszcze w tej sekundzie znalazłaby się w jego ramionach. Zanurzyłby palce w jej włosach, pociągnął w tył, delikatnie, pieszczotliwie, ale na tyle mocno, by musiała unieść ku niemu te swoje słodkie usta... A potem przekonałby ją pocałunkiem, że oboje pragną tego samego, i gdy przyznałaby mu rację, jednym ruchem obnażyłby te cudowne piersi, ciepłe, zawadiacko sterczące pod cienkim ubraniem. Zamknąłby je w dłoniach, a ona... ona wbiłaby palce w jego barki, oplótła jego biodra swoimi cudownie długimi nogami sportsmenki, i pozwoliła się zanieść do łóżka. Taaak... Emilio powiedział sobie twardo, że musi skończyć ze snuciem fantazji, bo jeszcze chwila, a będzie musiał uciekać pod zimny prysznic. W swoim bujnym życiu spotkał wiele pięknych kobiet, ale nie pamiętał, by którakolwiek zrobiła na nim tak wielkie wrażenie jak Grace. Uroda była tylko jednym z jej atutów, i to wcale nie największym. Imponowała mu siła jej charakteru, fascynowało go jej podejście do życia, a bezkompromisowa miłość, jaką otaczała Zaka, budziła jego szczerą podziw.

- Mama cieszyłaby się, że dziecięcy pokój i jej buduar znowu po latach są zamieszkałe. Byłaby szczęśliwa, mogąc gościć cię u siebie - powiedział,

przerywając milczenie.

Grace uśmiechnęła się z roztargnieniem. Nie mogła przestać myśleć o tym, co Emilio powiedział o swoich rodzicach. Żadne z nich nie potrafiło stworzyć trwałego związku. A ty potrafiłbyś? - chciała zapytać, ale nie miała odwagi. Zresztą, podejrzewała, że zna odpowiedź. Emilio nie zamierzał się z nikim wiązać; przelotne relacje odpowiadały mu w zupełności. Teraz, kiedy sprowadził do Urubamby dziedzica fortuny Santanów, nie musiał zawracać sobie głowy szukaniem żony i zakładaniem rodziny. Mógł żyć, tak jak lubił... i podrywać każdą spódniczkę, która mu się nawinęła, nie wyłączając niani własnego bratanka.

Upewniwszy się, że Zakowi i Grace niczego nie brakuje, Emilio zamknął się w gabinecie. Nawet, jeśli bardzo tego chciał, nie mógł spędzić z nimi całego dnia. Miał imperium do zarządzania. Dobrze chociaż, że większość spraw, dzięki połączeniom internetowym, mógł załatwić z domu. Niestety, wiedział, że prędzej czy później czeka go wyjazd do Limy. Tam, w biurach korporacji, odbywały się najważniejsze spotkania, a Emilio wierzył, że pańskie oko konia tuczy, i nie chciał zostawić tych spraw w rękach zastępców. Na razie jednak powinien się zająć problemem nieco mniejszej rangi. Musiał wymówić posadę Ferminowi. Miał absolutnie dość bujnego życia towarzyskiego, jakie jego stajenny prowadził w godzinach pracy, i nie życzył sobie więcej być mimowolnym świadkiem jego donżuanerii. Młodszy brat stajennego, Pablo, zatrudniony do czyszczenia basenu i koszenia trawników, temperamentem nie ustępował Ferminowi, a że los obdarzył go wyglądem młodego boga, powodzenie miał szalone. Emilio podejrzewał, że i on nie zagrzeje długo miejsca w Urubambie. Nie rozumiał, dlaczego Arturo tolerował tych dwóch trutni na swoim terenie, ale nie wnikał w to. On wolał zatrudnić ludzi, którzy może nie wyglądali tak reprezentacyjnie jak Fermin i Pablo, ale bardziej od nich potrzebowali pracy i stałego zarobku, bo w domu czekały na nich żony i dzieci.

Zadanie wykonał, ale ze stajni wracał z kwaśną miną. Nie lubił wyrzucać ludzi na bruk, nawet jeśli na to zasłużyli. A już zupełnie nie znosił takich, którzy zamiast z godnością ponieść konsekwencje swoich postępów, zaczynali jęczeć i zawodzić. Fermin posunął się do tego, że usiłował wziąć go na litość, opowiadając o chorej matce, której musiał kupować leki. Łgarstwo było grubymi nićmi szyte; Emilio na tyle często wpadał do kuchni na pogawędkę z Dolores, by być na bieżąco w sprawach rodzinnych wszystkich pracowników Urubamby, więc dobrze wiedział, że nieodżałowana rodzicielka Fermina i Pabla rozstała z tym światem już kilka lat temu. Scena była doprawdy żalosna, i Emilio czuł niesmak. Żeby zapomnieć o całej sprawie, zaczął myśleć o Grace. Postanowił, że jeszcze tego wieczoru zaprosi ją na uroczystą kolację. Może poprosi Dolores, żeby nakryła dla nich stół w oranżerii? A może nad basenem,

jeśli noc będzie ciepła? Będzie ją zabawiał rozmową i częstował winem, które tak bardzo jej smakowało. Kto wie, co wydarzy się później? Tak czy owak, nie miał nic do stracenia. W najgorszym wypadku spędzi wieczór przy dobrym posiłku, w towarzystwie pięknej i błyskotliwej kobiety. A w najlepszym... zapomni o zdrowym rozsądku i o mocnych postanowieniach, i pozwoli, żeby namiętność zaprowadziła ich tam, gdzie było im pisane razem dotrzeć.

Bawił się tą perspektywą przez dobrą godzinę, przeglądając raporty i odpisując na mejle. A potem jeden telefon przekreślił wszystkie jego plany. Handlowiec odpowiedzialny za dystrybucję win marki El Santana Vino był w hysterii. Singapurski partner, który rozprawdzał wina Santanów w południowej Azji, groził zerwaniem kontraktu, jeśli procent jego zysków ze sprzedaży nie zostanie pokaźnie zwiększony. Tymczasem pięć pełnych kontenerów czekało w porcie na rozładowanie. Jeśli singapurczyk się wycofa, straty będą ogromne... Emilio nie czekał ani chwili. Popędził do swojego pokoju, wyciągnął walizkę, spakował dwie zmiany ubrań i szczoteczkę do zębów. Chwycił jeszcze torbę na laptop i ruszył do garażu, z telefonem komórkowym przy uchu. Musiał skontaktować się z biurem w Limie i poinformować, że przyjeżdża natychmiast, żeby osobiście zażegnać ten azjatycki kryzys. Agent w Singapurze wyobraził sobie prawdopodobnie, że po śmierci Artura rodzinna firma przeżywa moment słabości, który można wykorzystać. Im prędzej przekona się, że jest w błędzie, tym lepiej.

W połowie krętych schodów wiodących do przerobionej na garaż części podziemia, zatrzymał się nagle. Grace! Nie mógł przecież wyjechać bez pożegnania. Obrócił się na pięcie i pobiegł na piętro. Chciał wejść do jej pokoju, ale zawahał się z ręką na klamce. Z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk. Może Grace ucięła sobie drzemkę po lunchu? Jeśli komuś potrzebny był odpoczynek, to na pewno jej; całodobowa opieka nad małym dzieckiem musiała być piekielnie wyczerpującym zajęciem. On poczuł ulgę, kiedy oddał jej Zaka po zaledwie półgodzinie zabawy. Po namyśle nie wszedł do jej sypialni, tylko wyrwał kartkę z notatnika, napisał kilka słów i wsunął pod jej drzwi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pół godziny później siedział już w samochodzie w drodze na lotnisko w Cusco. Jak to się skończy, obiecywał sobie, dopilnuje założenia łączności satelitarnej w Urubambie. Będzie mógł odbywać wideokonferencje na miejscu, a nie miotać się tam i z powrotem jak Arturo.

W samolocie usiłował się zdrzemnąć, ale myślą wciąż wracał do Grace. Imponowała mu bezwzględny oddaniem, z jakim opiekowała się małym Zakiem. Gdyby pokochała mężczyznę, byłaby lojalna, wierna... i dziko namiętna, pomyślał nagle. A on? Czy potrafiłby zaangażować się emocjonalnie w ten sposób? Chyba nie. Ledwo mógł sobie przypomnieć kobiety, z którymi łączyły go przelotne związki. Był pomysłowym i zdolnym kochankiem, seks więc stawał się przyjemnością i dla niego, i dla partnerek. Ale jakaś część jego duszy pozostawała dotąd zamknięta, niedostępna dla nikogo.

- Don Emilio. - Głos pilota w interkomie wyrwał go z rozmyślań. - Przed nami burza. Lepiej niech pan zapnie pas.

Pozostał spokojny, ale natychmiast wykonał polecenie. W tym momencie ciemność za oknami rozdarł oślepiający błysk, a maszyną szarpnęło. Gdy powietrze wypełnił łoskot gromu, Emilio zacisnął palce na poręczach fotela. W samolot uderzył piorun!

Kadłub zadrżał niczym żywa istota, gdy elektryczne wyładowania przesunęły się wzdłuż jego aluminiowego cielska jak macki i zniknęły w mroku. Emilio znów słyszał tylko pomruk silników, świst wiatru za oknami i... walenie własnego serca.

- Wszystko u pana w porządku? - odezwał się znów pilot w głośniku.

- Tak. Co z maszyną? - Pomyślał, że mógł o to nie pytać. Nowoczesne samoloty, jak ten, wytrzymują nawet silniejsze wyładowania atmosferyczne.

- Wszystkie urządzenia wydają się działać - padła odpowiedź. - Sprawdź jeszcze...

Po chwili Emilio usłyszał wiązaną hiszpańskich przekleństw.

- Co się stało?

- Lewy silnik wysiadł.

- Chłodna analiza sytuacji zajęła mu zaledwie moment.

- Od pioruna? To niemożliwe.

Nie było odpowiedzi. Samolotem bujało jak statkiem na wzburzonym morzu. Emilio rozpiął pas, chwiejnie przeszedł na dziób. Wsunął się do kokpitu i zasiadł na fotelu drugiego pilota. Stąd miał lepszy ogląd sytuacji.

- Próbowałem odpalić na nowo to cholerstwo - powiedział pilot. - Bez rezultatu. Samolot może w normalnych warunkach lecieć na jednym silniku. Ale teraz, obawiam się, że nie ma odpowiedniej mocy, żeby wyciągnąć nas z burzy. Czeka nas ostra jazda.

- Mogę jakoś pomóc? - Emilio zmarszczył brwi.

- Na razie niech pan obserwuje sytuację na zewnątrz. Jeśli będę potrzebował pomocy, powiem panu.

- Czy mogę zrobić coś jeszcze?

- Tak. Modlić się.

Modlitwa? Emilio nie modlił się od lat. Nie był pewien, czy Bóg zechciałby słuchać kogoś takiego jak on.

Patrzył przez szybę. Błyskawice raz po raz rozświetlały zwały ciemnych chmur, przez które się przebijali. Co chwilę też w dole otwierał się widok na postrzępione szczyty Andów, groźne jak zęby potwora i niebezpiecznie bliskie. Lądowanie awaryjne nie wchodziło w grę. Musieli dotrzeć do Limy lub chociażby osiągnąć wybrzeże.

Jeśli coś stałoby się z jeszcze działającym silnikiem albo burza i wiatr okazałyby się za mocne dla osłabionej maszyny, groziłaby im zguba. Pilot, Raul Vargas, osierociłby czworo dzieci, pozostawił żonę i starszych krewnych, którzy żyli dzięki jego zarobkom. Jego śmierć byłaby dojmującą stratą dla wielu osób.

Co zaś zostałoby po nim? - zadał sobie pytanie Emilio. W życiu szukał tylko przyjemności, więc nikt by po nim nie zapłakał. Wynajęty zarządca zająłby jego miejsce na czele korporacji, do chwili, aż osiągnąłby pełnoletniość. Jego wszystkie byłe kochanki zasmuciłyby się na moment, a potem ruszyły imprezować dalej, jak to się działo i teraz.

Grace zapamiętałaby go głównie jako zarozumiałego aroganta, który traktował ją, jakby była jego własnością. Zak, jego dziedzic, w ogóle nie miałby żadnych wspomnień związanych ze stryjem.

Nie licząc majątku, będącego wszak dorobkiem pokoleń rodziny Santanów, nie zostawiłby po sobie niczego. Jakby w ogóle nie istniał.

Kolejny piorun przeciął z hukiem przestworza. ciekły wicher kołysał samolotem, jakby chciał rwać skrzydła od kadłuba. Dłonie Raula mocno i sokośnie trzymały stery, ale jego zaciśnięte szczęki zdradzały wielkie napięcie. Emilio, zeszywniał w swoim fotelu, wpatrywał się w zwały kłębiących się przed nimi chmur. Pierwszy raz od czasów dzieciństwa poruszał wargami w bezgłośnie modlitwie.

Grace stanęła na skraju trampoliny, wspięła się na palce, uniosła ręce ku wyłoczonemu słońcem niebu. Trwała tak przez moment, a potem zgięła kolana i odbiła się lekko, pofrunęła w górę, zatoczyła w powietrzu idealny łuk i zanurkowała, wyprężona jak strzała. Woda przyjęła ją w swoje objęcia. Grace wbiła się w jej chłodną głębię, popłynęła niespiesznie, pewnymi, harmonijnymi ruchami ramion i nóg, rozkoszując się nieważkością ciała i własną siłą, która pchała ją naprzód mimo oporu wody. Basen w Urubambie miał sto metrów długości, a o tej popołudniowej godzinie, kiedy Zak był na spacerze w

towarzystwie młodych podopiecznych Dolores, Grace miała cały ten luksus dla siebie. Przepłynęła na drugą stronę, z powrotem, jeszcze raz, i jeszcze. Kiedy pokonała dystans pięciuset metrów, obróciła się na plecy i aż westchnęła z rozkoszy. Życie, mimo wszystko, było piękne. Mieszkała w niesamowitym starym domu, gdzie było chyba ze sto pokoi i labirynt korytarzy. Zak spędzał całe dnie na świeżym powietrzu, tryskał zdrowiem i wspaniale się rozwijał - tylko patrzeć, jak zacznie mówić i chodzić. Mogła się spodziewać, że gdy tylko chłopiec postawi pierwsze samodzielne kroki, Emilio wsadzi go na kucyka. Póki co Zak trenował zawzięcie na swoim bujanym koniu.

Emilio... minęło zaledwie półtorej doby, odkąd wyjechał, a już tęskniła za nim jak głupia. Najgorsze, że zupełnie nie wiedziała, kiedy może się spodziewać jego powrotu. Zostawił jej tylko kilka słów nabazgranych chybcikiem na kartce:

Wynikła pilna sprawa, lecę do Limy. Wrócę tak prędko, jak tylko będę mógł.
E.

Grace obróciła się i odepchnęła od wody silnym wyrzutem ramion, jakby chciała uciec przed własnymi myślami. Nie zdołała. Wspomnienie pocałunku, smaku gorących ust Emilia było jak oścień tkwiący w niej głęboko, niedający o sobie zapomnieć. Powiedziała mu stanowczo, że ta chwila namiętności była błędem, i chyba wtedy naprawdę tak myślała. A teraz... jej determinacja gdzieś wyparowała. Pozwalała sobie na głupie, romantyczne marzenia o powrocie Emilia i o tym, co mogłoby się między nimi wydarzyć.

Dosyć tych naiwnych mrzonek. Emilio równie dobrze mógł już dawno o niej zapomnieć. Kto wie, czy „pilna sprawa”, która ściągnęła go do Limy, nie miała włosów do pasa, sarnich oczu i piersi jak dojrzałe melony? Grace zanurkowała gwałtownie, przepłynęła pod wodą całą długość basenu i, łapczywie chwytając oddech, wynurzyła się przy krawędzi. Nad sobą zobaczyła parę muskularnych, opalonych na brąz, męskich łydek. Zaskoczona, uniosła głowę. Powyżej były kolana i uda, idealnie wyrzeźbione, jakby wyszły spod dłuta antycznego mistrza, krótkie spodenki w kolorze khaki włożone tak niedbale, że zdawało się, że lada chwila opadną w dół bosko wąskich bioder, obnażając adonisa całkowicie, bowiem więcej odzieży na sobie nie miał. Słońce złociło jego nagi, wspaniale umięśniony tors. Czarne włosy spływały w puklach na ramiona potężne niczym konary, a twarz o subtelnych rysach rozświetlała para oczu o marzycielskim, melancholijnym wejrzeniu.

Grace zamrugnęła, ale cudowne zjawisko nie zniknęło. Wręcz przeciwnie, młodzian odsłonił w uśmiechu dwa rzędy lśniących białych zębów i przemówił.

- *Hello. Doña Grace, prawda? Czy bardzo bolało?*

- *Co takiego?* - zdumiała się.

- *Pytam, czy bardzo bolało, kiedy spadła pani z nieba, mój aniele?*

Stłumiła parsknięcie. To był chyba najdurniejszy tekst, jaki w życiu słyszała. Adonis, w którym dopiero teraz rozpoznała pracownika zajmującego się utrzymaniem basenu i trawników, najwyraźniej nie grzeszył intelektem. Czy jakikolwiek facet o IQ wyższym niż u kurczaka mógł poważnie myśleć, że taka odzywka zrobi wrażenie na dorosłej kobiecie?

- Jestem Pablo, *a tu servicio*. - Młodzieniec przyklęknął na jedno kolano i dwornie wyciągnął dłoń ku Grace. - Proszę pozwolić, żebym pomógł pani wyjść z wody. Przygotowałem ciepły ręcznik, a obok pani leżaka czeka kieliszek pisco sour.

- Pisco sour? - Grace oparła przedramiona na nagranych słońcem kafelkach. Wiedziała, że tak nazywa się słynny peruwiański koktajl, ale jeszcze nigdy nie miała okazji go spróbować. - To bardzo miło z pana strony, ale nie sądzę, żeby alkohol o tej porze był dobrym pomysłem.

- Ależ jeden łyteczek nie zaszkodzi - nalegał. - To byłby grzech, nawet nie spróbować naszego lokalnego specjału. Pisco sour robione jest z najprzedniejszych winogron, które rosną tutaj, w Świętej Dolinie. Wino miesza się z sokiem z limonek i ubitymi na sztywno białkami jaj. Zrobiłem tego drinka specjalnie dla pani, a ja się znam na rzeczy. Gwarantuję, że jest *exquisito*. Lepszego pani nigdzie nie znajdzie.

Grace zawahała się. Nie lubiła nachalnych podrywaczy, ale w wodzie zaczynało jej być chłodno, więc perspektywa owinięcia się ciepłym ręcznikiem stawała się z chwili na chwilę coraz bardziej kusząca. Facet jest nieszkodliwy, powiedziała sobie. W najgorszym wypadku będzie musiała wysłuchać jeszcze kilku czerstwych tekstów. Wyciągnęła rękę i pozwoliła Pablowi wywindować się na brzeg basenu. Nie mogła nie zauważyć, że przy okazji otaksował ją od stóp do głów beczelnym spojrzeniem, więc czym prędzej zawinęła się w miękki, biały ręcznik.

- Czas spróbować *pisco sour* - zarządził Pablo. - Niech pani siada, *por favor*. I proszę mówić mi po imieniu.

Grace z przyjemnością opadła na leżak. Po chwili miała już w dłoni wysoką szklankę wypełnioną złotozielonym płynem, na którym unosiła się leciutka warstwa białej piany. Ostrożnie upiła mały łyk. Napój był zaskakująco mocny, o gorzkawym smaku, który aż mrowił w język.

- No i jak? Smakuje? - Młody człowiek najwyraźniej zamierzał nadal uszczęśliwiać ją swoim towarzystwem.

- Jest... - zawahała się - oryginalny. Dziękuję.

Peruwiańczyk skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Grace zaczynała się czuć nieswojo.

- Czy masz do mnie jakąś sprawę, Pablo? - spytała wreszcie.

- Och, nie. Chciałem tylko spędzić kilka chwil w towarzystwie pięknej kobiety. - Błysnął zębami w uśmiechu. - I, może, poprosić o maleńką przysługę.

- Co miałabym dla ciebie zrobić? - Grace nie odwzajemniła uśmiechu.

- Chodzi o mojego biednego brata. - Ciemne oczy Pabla wypełnił smutek. - Don Emilio postąpił wobec niego bezlitośnie. Wyrzucił go na bruk, choć Fermin nic złego nie zrobił. Boję się, że mnie spotka ten sam los, a bardzo potrzebujemy tej pracy. Nasza mama jest ciężko chora, a lekarstwa są drogie. - Głos mu się załamał.

- Jeśli potrzebujesz pieniędzy... - zaczęła, ale wpadł jej w słowo.

- Ależ skąd! Nie śmiałybym prosić o coś takiego! Ale, Grace... mogę mówić „Grace”? Gdybyś zgodziła się wstawić za nami u don Emilia, uratowałybyś nas.

- Posłuchaj, Pablo, współczuję ci, ale niestety nie mogę pomóc. - Grace miała ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie. - Musiałeś źle zrozumieć sytuację. Nie mam żadnego wpływu na decyzje, jakie podejmuje don Emilio. Jestem tylko... nianią jego bratanka.

- Don Emilio - młody mężczyzna zwęził oczy w szparki - ma serce z kamienia! Jak to możliwe, by nie liczył się ze zdaniem takiej wspaniałej kobiety? Gdyby był prawdziwym mężczyzną, zrobiłby z ciebie królową, a nie służącą. Ale nie mówmy już o nim. Teraz, kiedy wyjechał, nie musisz chyba tak ciężko pracować? Pozwól, bym zrobił ci masaż. Zapewniam, że w moich ramionach zapomnisz o troskach...

Uśmiechnął się sugestywnie i wyciągnął rękę. Grace zeszywniała, kiedy dotknął jej uda i pieszczotliwie przesunął ciemną od opalenizny dłoń po jej ciele.

- Wolnego - wycedziła, wstając. Sama nie wiedziała, czy ta sytuacja bardziej ją oburza, czy śmieszy. - Zabierz tę rękę, bardzo cię proszę.

- Nie, to nie. - Pablo wzruszył ramionami, a uśmiech znikł z jego twarzy, zastąpiony złym grymasem. - Nie wiesz, co tracisz, *querida*. Pozwól, że coś ci powiem: zalotów don Emilia i tak się nie doczekasz. Nie grasz w jego lidze.

Wypuściwszy tę zatrutą strzałę, Pablo obrócił się na pięcie i odszedł leniwym krokiem w stronę zabudowań gospodarczych. Grace poczuła, że nie jest jej już do śmiechu.

Nie grasz w jego lidze.

Pablo może i nie był mistrzem intelektu, ale udało mu się trafić w sedno. Nie powinna tęsknić za Emiliem Santaną, zastanawiać się naiwnie, co by było, gdyby zechciał zobaczyć w niej kogoś więcej niż pracownicę albo dziewczynę na jedną noc. Do niczego podobnego nie dojdzie. Poważna, piękna relacja, utkana z namiętności i szacunku, taka, o jakiej śniła, odkąd poznała smak ust Emilia, na jawie nigdy ich nie połączy. On był milionerem i arystokratą, a korzenie jego rodu sięgały średniowiecza. Ona była prostą Amerykanką, która nie знаła nawet swoich dziadków. Gdyby nie kaprys losu, nigdy nawet by się nie spotkali.

Dochodziła północ, kiedy Emilio wrócił do domu. Interesy poszły dobrze, kryzys został zażegnany, a niesłowny agent z Singapuru zastąpiony przez człowieka, na którym można było polegać. Jednak po traumatycznych

przeżyciach w czasie lotu do Limy i trzech dniach harówki na miejscu, w czasie których odżywiał się praktycznie tylko czarną kawą, był wykończony. Na szczęście był już w domu. Odetchnął czystym, górskim powietrzem i uśmiechnął się do siebie, a potem ruszył ścieżką przez ogród. Cisza uspiionej posiadłości koła zszarpane nerwy nie gorzej niż butelka chłodnego piwa.

Ścieżka prowadząca wokół basenu była mokra od rosy. Niedługo późne lato przejdzie w jesień, a znad gór nadciągną chłody, pomyślał, spoglądając w czyste, rozgwieżdżone niebo. Niedługo umilkną cykady...

Zmylił krok, kiedy z mroku dobiegł go jakiś jęk. Zamarł, gotów biec na ratunek osobie, która najwyraźniej zmagala się z jakimś wielkim cierpieniem... i zaklął pod nosem, kiedy zrozumiał swój błąd. Nikt tutaj nie cierpiał, wręcz przeciwnie. W jednym z zabudowań gospodarczych ktoś naprawdę dobrze się bawił. Emilio zacisnął zęby i pokręcił głową. Najwyższy czas podziękować Pablowi za usługi. Nie zamierzał jednak zajmować się tym po nocy; marzył o długim, ciepłym prysznicu i co najmniej dziesięciu godzinach nieprzerwanego snu. Wszystko inne mogło poczekać.

Przekręcił klucz, pchnął ciężkie drzwi i ruszył przez tonący w półmroku hol, budząc echa kroków w nocnej ciszy. Był już prawie na schodach, kiedy za przeszklonymi arkadami dostrzegł jakąś jasną postać. Ktoś był na patiu.

Zaintrygowany, wyszedł na zewnątrz. Osoba stała tyłem do niego, w półcieniu. Szybko ją rozpoznał - była to Grace. Na nocną koszulkę narzucony miała fartuch malarski, bosa stopy wsunęła w niezapięte sandały. Jej włosy były zmierzwiłone, jakby właśnie wstała z łóżka. Uderzyło go, jak bardzo była inna niż wymuskane nimfetki, którymi się dotąd interesował. Grace, choć potargana i ubrana niedbale, była... po prostu piękna. Dopiero teraz, kiedy ją zobaczył, zrozumiał, że przez trzy ostatnie dni był chory z tęsknoty. Rozłąka z nią kosztowała go więcej niż najcięższa praca. Zaskoczony tym odkryciem, zatrzymał się w pół kroku. Grace usiadła w jednym z foteli, a odbiornik zestawu radiowego, który wzięła ze sobą, żeby w każdej chwili móc usłyszeć płacz Zaka, postawiła na stoliku. Gdy skuliła ramiona i ukryła twarz w dłoniach, podszedł do niej i bez namysłu pogłaskał ją po plecach.

- Powiedz, co się stało - przysunął sobie drugi fotel.

Podniosła głowę, zamruwała, jak wyrwana z transu.

- Nie mogłam zasnąć - szepnęła po chwili.

- Nie jest ci zimno?

Pokręciła głową, ale i tak ściągnął marynarkę i okrył nią jej ramiona. Wtuliła się w miękki materiał, jakby poszukując resztek ciepła, które w niej zostawił.

- Jak było w Limie? - spytała, zerkając na niego spod rzęs.

- Cóż... ciekawie - uśmiechnął się. - Zaliczyłem niezły maraton. Właściwie nie spałem.

- Ale sprawy poszły po twojej myśli - zgadła.

- Na szczęście tak. - Z westchnieniem opadł na oparcie fotela. - Chciałem

stamtąd do ciebie zadzwonić, ale nie miałem chwili spokoju.

- Nic się nie stało. Wiem, że byłeś zajęty - powiedziała kojąco.

- Owszem, byłem. Ale mimo to nie mogłem przestać myśleć o tobie i o Zaku. Uznałem jednak, że rozmowa, jaką chcę z tobą przeprowadzić, nie jest na telefon.

- Co takiego chciałeś mi powiedzieć? - Serce Grace załomotało.

Emilio nie odezwał się od razu. Przez długą chwilę siedzieli w ciszy, wypełnionej graniem cykad i perlistym szmerem fontanny.

- Lot do Limy był wyjątkowo niespokojny - odezwał się wreszcie Emilio. - Mogę powiedzieć bez przesady, że otarłem się o śmierć. Wpadliśmy w burzę, uderzył w nas piorun, straciliśmy jeden silnik... Raul to świetny pilot, dzięki jego zimnej krwi i pewnym rękom przeżyliśmy. Ale przez ostatnie pół godziny lotu byłem niemal pewien, że z nami koniec.

A takiej chwili nachodzą człowieka szczególnie

Urwał. Grace nie odezwała się ani słowem. Nawet gdyby chciała, nie mogłaby chyba wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

- Gdy nasz samolot ledwo ciągnął na jednym silniku - podjął po chwili - zdałem sobie sprawę, że gdybym umarł, całe moje istnienie byłoby tyle warte co maleńki kamyk wrzucony do wielkiej rzeki. Poszedłbym na dno bez echa, bez śladu. Obiecałem sobie wtedy, że jeśli wyjdę cało z tej przygody, zmienię swoje życie.

Podniósł się i zaczął krążyć, jakby natłok myśli nie pozwalał mu usiedzieć w miejscu.

Chcę prowadzić dalej rodzinny biznes - ciągnął z zapalem - ale podejść do tego trochę inaczej. Uważniej. Lepiej. Chcę zapewnić ludziom, którzy pracują dla Santanów, lepszą płacę i warunki socjalne. Zmienię styl zarządzania. W tradycji jest wiele dobrego, ale trzeba otworzyć się na nowe nurty. Arturo wszystkie decyzje podejmował sam, a ja myślę, że lepiej będzie złożyć część odpowiedzialności i związanych z nią apanaży w ręce ludzi, którzy pracują dla nas od lat. Osiągnę podwójny zysk: dam im nową motywację, a sam będę miał więcej czasu na... inne sprawy. Chcę zrobić coś dla ludzi, którzy mieszkają tutaj, w wioskach nad rzeką. Ufunduję szkołę albo klinikę... Jeszcze nie zdecydowałem. Ale jedno jest pewne: mam konieczne środki. Czemu nie wykorzystać ich w jakimś rozsądnym celu?

- Zrobił jeszcze kilka kroków, obrócił się i raptownie zatrzymał.

- Przepraszam. - Pokręcił głową, zaśmiał się cicho. - Poniosło mnie. Muszę brzmieć jak człowiek nawiedzony. Za dnia będę potrafił wytłumaczyć ci wszystko na spokojnie, jeśli zechcesz słuchać. Teraz chcę powiedzieć jeszcze tylko jedno. Postanowiłem, że zrobię wszystko, żeby zastąpić Zakowi ojca. Będę spędzać z nim czas. Tylu rzeczy chciałbym go nauczyć... a także podarować mu beztrudne, szczęśliwe dzieciństwo. Ale jednego jestem pewien: bez ciebie nie poradzę sobie z tym zadaniem. Potrzebuję cię. Tutaj, ze mną.

Grace popatrzyła w jego poważne, ciemne oczy i zobaczyła w nich swoją przyszłość. Przyszłość, w której było miejsce dla nich trojga. Zak będzie wzrastał pod opieką kobiety, która nade wszystko pragnęła być jego matką, i mężczyzny, który wyraźnie dojrzywał do roli ojca. Jakieś cudowne, rozkosznie ciepłe uczucie wypełniło jej serce, sprawiło, że uśmiechnęła się bezwiednie, szczęśliwym, rozmarzonym uśmiechem.

Pierwszy raz widziała Emilia tak pełnego zapału, stanowczego i wiarygodnego w swojej chęci stania się lepszym człowiekiem. Wzruszenie wycisnęło jej łzy, kiedy zrozumiała, że go kocha. To właśnie była miłość - owo tkliwe uczucie, połączenie zachwytu, tęsknoty i szalonej radości.

Jeśli Emilio chciał, żeby stanęła u jego boku, zrobi to. I będzie się cieszyć jego bliskością tak długo, jak los jej na to pozwoli.

- Powiedz, że zostaniesz, Grace - poprosił żarliwie. - Zak cię potrzebuje. Ja też... cię potrzebuję. I pragnę.

Nie odpowiedziała, ale jej wilgotne oczy i drżący uśmiech musiały być wymowniejsze niż słowa, bo Emilio wyciągnął do niej ramiona. Sama nie wiedziała, kiedy znalazła się w jego objęciach, a on tulił ją mocno, tak mocno, jakby od tego zależało jego życie. Czy naprawdę jeszcze przed godziną przewracała się bezsennie po łóżku, prześladowana myślą, że jest samotna w obcym kraju? Teraz czuła, że odnalazła swoje miejsce. Gdyby tylko to mogło trwać... Nie śmiała oczekiwać od losu takiego prezentu. Pewnego dnia jej szczęście rozsypie się w proch. Ale nie chciała teraz o tym myśleć. Ta chwila zawsze będzie należeć do niej, bez względu na to, co miała przynieść przyszłość.

- Zostanę - wyszeptała. - Zostanę z tobą, Emilio...

Nie dał jej dokończyć, tylko dotknął wargami jej warg. Przez chwilę, krótką i oślepiającą jak błyskawica, zniknął świat, zatrzymał się czas. Istniały tylko jej usta, aksamitnie miękkie i jędrne jak soczysty owoc. Delikatnie musnął językiem jej dolną wargę, a ona westchnęła drżąco. Ciepło jej oddechu przeniknęło go, wypełniło żarem. Z dreszczem zachwytu zrozumiał, że trzyma w ramionach tajemnicę, której nawet jeszcze nie zaczął pojmować. Grace... była objawieniem. Choć nigdy, w najśmielszych snach, nie przeczuwał, że zafascynuje go właśnie taka kobieta, chyba od zawsze w głębi duszy za nią tęsknił. Przyciągnął ją do siebie bliżej, tak blisko, że czubki jej piersi musnęły mu tors, a biodra oparły się o jego uda. Grace przymknęła oczy, uniosła ramiona. Poczul, jak wplata palce w jego włosy, przyciąga go bliżej, żeby pogłębić pocałunek.

Ręce drżały mu jak nastolatкови na pierwszej randce, kiedy sięgnął do zapięcia jej malarskiego fartucha. Niecierpliwie rozpiął jeden guzik, drugi, trzeci... Kiedy płótno opadło na posadzkę, unieruchomiła mu nadgarstki, przykrywając je dłońmi, i zdecydowanym ruchem przesunęła jego ręce na swoje piersi, przesłonięte tylko cienkim materiałem koszulki. Jędrne i cudownie

krągłe, wypełniły mu dłonie niczym słodkie, dojrzałe brzoskwinie. Grace westchnęła drżąc i odrzuciła głowę w tył. Jego ciało stanęło w ogniu. Przywarł ustami do jej delikatnej szyi, uniósł w dłoniach miękkie krągłości piersi, przesłonięte cienkim materiałem koszulki, i odnalazł kciukami twarde sutki. Grace nie pozostała mu dłużna. Powiodła palcami w dół jego karku, wbiła krótko przycięte paznokcie w mięśnie jego pleców, budząc dreszcze w głębi trzewi. Pachniała snem i dzieckiem, a on, z jakiegoś powodu, uznał, że ta kompozycja jest bardziej podniecająca niż woń najbardziej luksusowych perfum.

Chciał zedrzeć z niej ubranie, posiąść ją tu i teraz. Płonął, i tylko jej nagość mogła ugasić jego żar. Powstrzymał się ostatkiem sił.

- Będę wobec ciebie szczery - powiedział gardłowo. - Jeśli natychmiast nie uciekniesz i nie zamkniesz się w sypialni na klucz, zaprowadzę cię na górę, rozbiore do końca, wezmę do łóżka i nie wypuszczę przed jutrzejszym porankiem.

Grace miała serce w gardle. Waliło jak młotem, niemalże uniemożliwiając oddychanie. Czy to był strach? Czy niecierpliwość? Nie potrafiła powiedzieć. Ale jedno wiedziała na pewno - zrobi dokładnie to, na co się zdecydowała.

Podążyła mu dłonią, a on splótł palce z jej palcami. Nogi miała zupełnie miękkie. Zrobiła jeden chwiejny krok i poczuła, jak silne ramię Emilia obejmuje ją w talii.

- Poprowadził ją przez hol, a potem schodami na górę. Szła powoli, rozglądając się dookoła. Wszystko zdawało jej się trochę nierzeczywiste, jak we śnie. Głowę miała dziwnie lekką, a ciało nieważkie.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - Gdy stanęli przed drzwiami jej sypialni, Emilio wypuścił ją z objęć i zrobił mały krok w tył, widocznie nie chcąc wywierać na nią najmniejszego nacisku. Czekał na jej decyzję. Zrozumiała, że nawet teraz mogłaby się wycofać, a on uszanowałby to. Spojrzała na niego z uznaniem. Podejrzewała, że większość mężczyzn w sytuacji, gdy udało im się doprowadzić kobietę do progu sypialni, darowałaby sobie podobne skrupuły.

- Chcę tego. Chcę... ciebie. - Otworzyła drzwi i obróciła się w progu, a potem zrobiła krok w tył, w przytulny półmrok. - Chodź do mnie, Emilio.

O niczym innym nie marzył. Zamknął za sobą drzwi i wyciągnął ku niej ramiona. W następnej chwili ogarnęło ich szaleństwo. Grace oplótła szyję Emilia ramionami. Jego niecierpliwe dłonie gorączkowo błędziły po jej plecach, objęły pośladki i przycisnęły biodra do twardych, męskich ud. Wspięła się na palce i z jękiem odnalazła wargami jego usta. Smakował skupioną, zmysłową energią i zapowiedzią rozkoszy. Jego korzenny, męski zapach upajał, budził w niej siłę. I śmiałość. Emilio był tak blisko niej... ale jeszcze nie dość blisko. Chciała czuć dotyk jego nagiego ciała. Chciała otoczyć jego biodra nogami, pozwolić, by wypełnił ją całkowicie.

Zerwała z niego marynarkę, drżącymi palcami rozwiązywała krawat. Kiedy

jedwab ześliznął się na ziemię w ślad za marynarką, gwałtownie szarpnęła poły koszuli, jednym ruchem obnażając szeroki tors. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na stukot spadających na podłogę guzików, bo w tym momencie on zsunął w dół ramiączka jej koszulki, uwalniając piersi.

- Pragnę cię, Emilio. Pragnę - szeptała żarliwie Grace, mocując się z zapięciem jego spodni.

- A ja ciebie - wychrypiął. Kiedy koszula nocna opadła na podłogę, cofnął się o krok i objął jej smukłe ciało spojrzeniem pełnym żaru. Zdawało jej się, że potrafi wyczuć pieśczoć jego oczu na nagim ciele - gorące dotknięcia, od których cała stawała ogniu. Zrobiła krok w jego stronę i zatrzymała się nagle, czując chłodny, niespodziewany dreszcz tremy na plecach. Emilio z pewnością był przyzwyczajony do towarzystwa bardziej efektownych kobiet. Ona, prawda, dużo ćwiczyła i była w miarę zadowolona ze swojego ciała, ale... nie powiększyła sobie biustu, nie stosowała drogich zabiegów, a jej proste, bawełnane majtki nie wyglądały ani prowokująco, ani luksusowo. Szeroka blizna, przecinająca dół brzucha, choć z czasem przestała być wyraźnie widoczna, też na pewno nie dodawała atrakcyjności.

Jednak w jego wzroku nie dostrzegła nawet cienia krytyki, tylko czysty zachwyty. Ośmielona, wyciągnęła do niego ręce. Chciała go rozebrać do końca. Zobaczyć. Dotknąć. Złapał ją za nadgarstki. Zabrakło jej tchu, kiedy delikatnie, ale stanowczo unieruchomił jej ręce za plecami. Nagle znalazła się w jego mocy, całkowicie bezbronna. Dziwne uczucie - nie była przyzwyczajona do sytuacji, w których musiała skapitulować, oddać inicjatywę. Niepokój zelektryzował ją, ale zaraz przemienił się w wibrujące, słodkie podekscytowanie. Nie mogła zrobić niczego innego, jak tylko smakować uczucie. Poddała się dotykowi jego silnych dłoni, pieśczoć gorących warg.

Niespiesznie sycił się gładkością jej skóry, delikatną smukłością szyi. Przesunął usta na krągłe ramię, mocny, sprężysty mięsień zadrgał pod jej skórą. Była spaniałe zbudowana - szczupła, ale silna jak driada. Każda linia jej ciała emanowała śmiałym, naturalnym pięknem i witalną energią. Kiedy jego wargi zaczęły wędrować ku stromym wzgórzom piersi, zadygotała i wygięła się, prosząc go bez słów, by posunął się dalej.

Westchnęła, kiedy nagle obrócił ją tyłem do siebie. Poczwała za plecami jego szeroki, twardy tors, a ciepło jego ciała przeniknęło ją do głębi, jak słońce w upalne południe. Dłoń Emilia spoczęła na jej płaskim brzuchu. Spięła mięśnie, jej piersi zafalowały, unoszone gwałtownym, urywanym oddechem. Jęknęła, gdy odnalazł wrażliwą aureolę piersi i zaczął delikatnie pobudzać naprężony sutek. Chciała uwolnić dłonie, odpłacić dotykiem za dotyk.

Nie puścił jej. Kiedy wzmocnił pieśczoć, poczuła gwałtowny zawrót głowy, a w głębi jej ciała zaczęło tętnić sekretne, gorące źródło. Obrócił ją znów ku sobie, półnagą, i drżącą. Rozchyliła usta, czekając na pocałunek, ale on odsunął ją na odległość ramienia i schylił głowę. Pod gorącym muśnięciem

jego oddechu, wrażliwa skóra jej piersi zamrowiła w oczekiwaniu. Wreszcie zamknął usta na twardym sutku, posyłając potężne wyładowanie elektryczne przez wszystkie nerwy jej ciała.

Nie mogła czekać dłużej. Oswobodziła ręce i wplotła mu palce we włosy. Zadrżała znowu, czując, jak gorące, męskie dłonie obrysowują jej talię i łuk bioder, jak docierają do skraju majtek. Bielizna zsunęła się w dół jej nóg jedwabistą pieszczotą, a jego palce powędrowały w górę, po wewnętrznej, wrażliwej stronie ud. Napięcie narastało nieubłaganą, potężną falą, w miarę jak zbliżał się do źródła jej kobiecości.

- Emilio - jęknęła. - Proszę...

Muszę poczuć, jak smakujesz. - Jego gardłowy głos był jak intymny dotyk. Posadził ją na łóżku i pchnął lekko, a ona opadła na miękki materac, znowu czując chłodny dreszcz tremy. Leżała przed nim naga, z biodrami na skraju materaca, wystawiona pełną żaru pieszczotę jego oczu, a on górował nad nią wysoki, męski i niemalże groźny. Kiedy uklękł przed nią i rozchylił jej uda, wczepiła się palcami koronkową narzutę.

Wstrzymała oddech, gdy dotknął jej wargami, odnajdując najczulsze miejsce. Zacisnęła powieki. Świat zniknął, jej świadomość skoncentrowała się na tym jednym punkcie, gdzie gorąca, coraz intensywniejsza pieszczota jego języka wzniecała płomień, który ogarniał ją całą. Kiedy do języka dołączyły palce, wnikając głęboko, jej ciało zamieniło się w słup ognia. Krzyknęła cicho, zaskoczona, bezradna wobec rozkoszy, której intensywność przerastała pojmowanie jej zmysłów. W odpowiedzi wzmocnił pieszczotę, bezbłędnie odnajdując rytm, prowadząc ją poprzez kolejne wybuchy spełnienia. Dopiero gdy zwiotczała, a głowa opadła jej na bok, uniósł twarz.

- Cudownie smakujesz - wymruczał.

Położył się obok niej na łóżku, a ona przeturlała się na bok, uniosła na kolana, wsparła dłonie o jego pierś i pchnęła go na poduszki. Nie zaprotestował. W jego oczach błysnęło wyzwanie. Podjęła je, pochylając się nad nim, osłaniając go złotą burzą włosów, muskając jego twarz wargami, a potem koniuszkami piersi. Przesunęła się niżej, znacząc szlakiem pocałunków jego szeroki tors i twardy brzuch. Syciła się ciężkim, korzennym zapachem i słonawym, wytrawnym smakiem jego skóry, rozkoszowała się sprężystością mięśni. Sięgnęła do gumki bokserów i zsunęła je z niego, odsłaniając męskość.

Zachwyty spłynął jej dreszczem po plecach. Opadła na pięty i przykryła dłonią jego lędźwia.

- *Ay, mujer!* - jęknął chrapliwie Emilio.

Grace uśmiechnęła się bezwiednie. Upojona świadomością, że ma go w swojej mocy, leciutko powiodła palcami wzdłuż jego członka, ciesząc się jedwabistym dotykiem i gorącą, stalową twardością. A potem schyliła głowę i objęła go wargami. Poczwała, jak mężczyzna spina wszystkie mięśnie, i zuchwale wzmocniła pieszczotę. Kiedy omiotła leciutkimi muśnięciami języka

wrażliwy koniuszek, poderwał się z głuchym jękiem i zacisnął dłonie na jej biodrach. W następnej chwili znalazła się pod nim, przygnieciona do miękkiego materaca ciężarem jego ciała.

Rozchyliła usta, spodziewając się, że wedrze się w nią gwałtownie, ale on zastygł w bezruchu. Zniecierpliwiona, wbiła paznokcie w jego plecy, uniosła kolana i mocno oplótła jego biodra nogami. Koniuszkiem członka dotknął jej pulsującej kobiecości, przycisnął go do niej niczym gorącą pieczęć, poruszył się delikatnie, drażniąc ją tam, gdzie była najwrażliwsza na dotyk. Wstrzymywał się tak długo, aż z jękiem wygięła plecy w łuk, nagłącymi ruchami bioder domagając się, by ją posiadał. Odpowiedział wreszcie na ten niemy zew, wchodząc w nią głęboko, powolnym, płynnym pchnięciem. Każdy nerw jej ciała zawibrował, kiedy wypełnił ją swoją skupioną mocą.

- Jesteś cudowna - wychrypiał.

- To ty... jesteś... niesamowity - wyszeptała bez tchu.

Wycofał się równie powoli, jak w nią wszedł. Wypchnęła biodra w górę, a jej nogi zwały się wokół niego jak kłamra. Pociągnęła go ku sobie zachłannie, niecierpliwie, i wbiła zęby w jego ramię. Ta gwałtowna pieśczoła wyzwoliła w nim wstrzymywaną dotąd pasję. Dźgnął ją mocno, i jeszcze raz, i jeszcze. Narzucił tempo, coraz szybsze, coraz bardziej szalone.

- Tak! Tak! - jęknęła, chwytając się wezgłowia łóżka, podejmując rytm.

Szybko. Mocno. Tego właśnie pragnęła. Szaleństwo narastało w nich z każdym pchnięciem, potęgowało się, brało ich we władanie, aż wreszcie rzucili się w przepaść spełnienia.

Spleceni ze sobą, wstrząsani dreszczami rozkoszy, osunęli się w niebyt.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Maaamaaa! - Elektroniczna niania rozbłysła w półmroku czerwonymi, ostrzegawczymi diodami, a rozpaczliwe wołanie wypełniło ciszę sypialni.

Grace i Emilio gwałtownie wrócili do rzeczywistości, wyplątali się z leniwego, ciepłego uścisku. Poderwali się jednocześnie, jak zawodnicy na dźwięk pistoletu startowego. Ale już pierwsze sekundy pokazały, jak bardzo nierówny poziom wytrenowania prezentują. Ona potrzebowała sekundy, żeby wyskoczyć z łóżka, i drugiej, żeby znaleźć i narzucić szlafrok. On w dalszym ciągu siedział oparty o poduszki i nieprzytomnie rozglądał się dookoła.

- Obowiązek wzywa, co? - ziewnął rozdzierająco. - Leć. Poczekam tu na ciebie.

- Już miała ruszyć biegiem do płaczącego dziecka, jak robiła to niezliczoną ilość razy w ciągu ostatnich miesięcy, ale zatrzymała się w pół kroku.

- O, nie - powiedziała stanowczo, wyciągając do niego rękę. - Wstawaj. Powiedziałeś, że chcesz zastąpić Zakowi ojca. Czas wprowadzić słowa w czyn.

- Co takiego? - jęknął. - Teraz? Grace, zlituj się. Jestem potwornie niewyspany.

- Trudno, nie ma, że boli. - Przekrzywiła głowę, uśmiechnęła się. - Poznaj uroki ojcostwa!

- Cóż miał robić? Choć pod powiekami czuł kłujący piasek, opuścił rozkosznie miękkie, ciepłe poślanie i podniósł z podłogi ubranie. Po chwili, w niedopiętych spodniach i krzywo włożonej koszuli, podreptał za Grace do dziecinnego pokoju.

Zak stał, trzymając się sztachet łóżeczka, i wyrażał swoją frustrację tak głośno, jak tylko pozwalały mu na to małe, ale zaskakująco mocne płuca. W blasku nocnej lampki widać było, że buzię ma purpurową z wysiłku i mokrą od łez.

- Czy... wszystko z nim w porządku? - Emilio wystraszył się nie na żarty.

- W jak najlepszym. Po prostu przyśnił mu się zły sen, to wszystko. - Grace podeszła do kołyski i wzięła chłopca w ramiona. Płacz ustał natychmiast; malec kurczowo chwycił ją za szyję, westchnął drżąc i uspokoił się zupełnie.

- Przemoczył pieluchę. - Grace spojrzała na Emilia znad ciemnej, rozczochranej główki chłopca. - Trzeba go przewinąć. Potrzymaj go przez chwilę, a ja przygotuję pieluchę i czyste śpioszki.

Rozpaczliwie szukał jakiejś wymówki, ale żadnej nie znalazł. Stanowczo, brakowało mu refleksu. Ani się obejrzał, a już trzymał w ramionach ciepłe, rozkosznie posapujące, i - rzeczywiście - wyraźnie mokre dziecko. Zak zmarszczył brewki i obrzucił go uważnym spojrzeniem, a potem wyciągnął rączkę i dotknął pokrytego jednodniowym zarostem, męskiego podbródka. Musiał wyczuć kłującą szorstkość pod paluszkami, bo z zaskoczenia zrobił

wielkie oczy, a po chwili uśmiechnął się szeroko, pokazując pierwsze ząbki.

- Spodobało ci się? - Emilio ujął pulchną łapkę i przesunął nią po twarzy. Zak rozchichotał się jak szalony.

- Świetnie ci idzie. - Grace zamknęła komodę, położyła na przewijaku pieluszkę i ubranka. - Od razu widać, że masz naturalny talent. Jestem pewna, że poradzisz sobie ze zmianą pieluchy.

- Mowy nie ma. - Emilio energicznie potrząsnął głową.

- Mokrej pieluszki się boisz? - Zmrużyła oczy.

- I to jak - wygadał się. Kiedy zrozumiał, że wpadł w sprytnie zastawioną pułapkę, było już za późno.

- Sam mówiłeś, że strach trzeba pokonać, a nie ulegać mu. - W jej głosie brzmiała satysfakcja. - Pokaż mi, jak to się robi.

- Nie mam pojęcia o przewijaniu dzieci - bronił się.

- Wszystko ci wytłumaczę, krok po kroku.

Westchnął, i, na poły rozbawiony, na poły niepewny, podszedł do przewijaka. Pod kierunkiem Grace wyswobodził Zaka z przemoczonego ubranka, a potem zdjął mu pieluszkę.

- Już jesteś na półmetku - kibicowała mu, kiedy sięgał po wilgotną chusteczkę higieniczną.

- Co teraz... - zaczął i urwał, bo strumień ciepłego płynu zmoczył mu tors.

Zak, golutki jak cherubinek, leżał na przewijaku i z miną niewiniątka wpatrywał się w sufit, jednocześnie wypuszczając z siebie całkiem imponującą fontannę.

- Aj, aj, aj! - Grace przycisnęła dłonie do ust, tłumiąc śmiech. Mina obsiusionego milionera była... bezcenna.

- Dam głowę, że on zrobił to specjalnie! - Emilio uskokzył w bok i wygiął się, starając się utrzymać dziecko na przewijaku, a jednocześnie pozostać poza polem rażenia. - Spójrz tylko na ten makiaweliczny uśmieszek!

- Czy poczułbyś się lepiej, gdybym ci powiedziała, że Zak traktuje w ten sposób tylko osoby, które szczerze lubi? - Grace nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. - Przepraszam... to... silniejsze ode mnie - wysapała, usiłując się opanować.

- Nie ma sprawy. - Emilio uśmiechnął się krzywo. - Cokolwiek by mówić, dzieciak przynajmniej ma cęla.

- Skończę go przewijać, a ty idź się przebierz - zaproponowała, pochylając się nad malcem.

- Bez przesady. - Machnął ręką. - Przeżyję. Cóż znaczy jedno siknięcie wśród przyjaciół?

Umył Zaka i nasmarował ochronnym kremem, a potem, po chwili rozpaczliwej samotaniny, udało mu się nawet włożyć pieluchę i śpioszki. Dopiero kiedy chłopiec był ubrany, przekazał go Grace, a sam poszedł do łazienki. Zdjął brudną koszulę, stanął przed umywalką i zauważył w lustrze, że

uśmiecha się od ucha do ucha.

Czuł się tak, jakby właśnie został ochrzczony... jakby przeszedł inicjację w tajemniczej konfesji, zwanej ojcostwem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nastały pogodne dni, wypełnione pracą i spokojnym szczęściem. W wolnych chwilach Grace malowała; pejzaże Urubamby - pasące się konie, wioski nad rzeką czy też dzieci jeżdżące na osiołkach - stanowiły niewyczerpane źródło inspiracji. Emilio większość czasu poświęcał czuwaniu nad majątkiem i korporacją, ale codziennie znajdował godzinę lub dwie, żeby pobawić się z bratankiem i nauczyć się czegoś nowego o opiece nad dziećmi. Sprowadził też do Urubamby speców z organizacji pozarządowych, którzy mieli opracować plan inwestycji w rozwój okolicy. Po długich dniach, wypełnionych słońcem i dziecięcym śmiechem, przychodziły noce - zbyt krótkie, by pomieścić całą namiętą czułość, jaką Emilio i Grace chcieli sobie ofiarować.

- W weekend zabiorę was oboje do Cusco. - Emilio oderwał wzrok od ekranu laptopa, opadł na oparcie fotela i uśmiechnął się do Grace, która stanęła w drzwiach gabinetu. Południowe słońce wpadało przez okno, obrysowując złociście jej wysoką postać. Jakże przyzwyczyił się do jej obecności! Jeszcze przed miesiącem nie znał Grace Chandler, a teraz nie wyobrażał sobie, życia bez pozytywnej energii, jaką w nie wносиła. Była silna i spokojna, chętnie się śmiała i nigdy nie słyszał, by się na cokolwiek skarżyła. Dzięki niej poznał urok małych, codziennych radości, i siłę fascynacji, która nie gasła z czasem, lecz przeciwnie, zdawała się płonąć coraz jaśniej. Nie mógł pozwolić, żeby wyjechała. Co noc, kiedy usypiała w jego objęciach, zastanawiał się, jak podejść do sprawy ich wspólnej przyszłości. Układ, jaki ich łączył, był czysto tymczasowy; a on chciał czegoś trwałego. Powoli dochodził do wniosku, że pragnie tego, o czym do tej pory bał się nawet pomyśleć - małżeństwa. Myśl była tak dziwna, że na razie zachowywał ją dla siebie. Nie mówił o przyszłości; Grace też nie poruszała tego tematu.

- Wspaniale! - ucieszyła się. - Mam nadzieję, że pogoda dopisze. Zjesz z nami lunch na patiu?

- Chętnie, ale muszę napisać jeszcze jeden mejl. Poczekasz na mnie pięć minut?

Oczywiście. - Podeszła do oszklonej, zabytkowej biblioteczki, która stała między oknami. Zgromadzono tu rodzinne pamiątki i zdjęcia. Oglądała je z uwagą, podczas gdy Emilio stukał w klawiaturę.

- Nie przedstawiłem ci jeszcze moich przodków. - Emilio stanął za nią i położył dłonie na jej ramionach. - To jest mój ojciec...

Sprawia wrażenie bardzo poważnego człowieka. - Grace miała wrażenie, że ciemnowłosa mężczyzna z sumiastym wąsem przeszywa ją czarnym, świdrującym spojrzeniem.

- Bo chyba taki był. Nie znałem go dobrze, bo my wychowywaliśmy się na

wsi, a on większość czasu spędzał w Limie. A kiedy zjeżdżał do Urubamby, nie życzył sobie, żeby dzieci kręciły się i przeszkadzały, więc byliśmy zamykani w innej części domu.

- To smutne - westchnęła Grace. Emilio nie skomentował.

- Tutaj widzisz moją mamę. - Wskazał dużą fotografię przedstawiającą ognistą piękność w czarnej sukni z zawrotnym dekoltem. - Opowiadałem ci o niej. A na tym zdjęciu jest Arturo, kiedy był w wieku Zaka, i starszy od niego o dwa lata Roberto, nasz brat, który umarł w dzieciństwie. Wtedy jeszcze wyglądał na zdrowego; nikt się nie spodziewał, że dwa lata później ciężko zachoruje. Ja w ogóle go nie pamiętam, bo zmarł kilka miesięcy po moim urodzeniu.

- Na co chorował? - Grace pochyliła się nad starą fotografią. Chłopiec miał delikatne rysy i wielkie, marzycielskie oczy.

- Lekarze nie umieli postawić diagnozy. Dopiero po latach nasz rodzinny doktor doszedł do tego, że Roberto prawdopodobnie cierpiał na rzadką genetyczną chorobę, zwaną glikogenozą typu IV.

- Biedny mały - zaczęła Grace i urwała. - Mówisz, że to była choroba genetyczna?

- Prawdopodobnie. Glikogenoza jest dziedziczna. W rodzinie musi być jakiś wadliwy gen...

- Jeśli ta choroba jest dziedziczna - wargi Grace pobiełały - to musimy przebadać Zaka. Jeszcze dzisiaj.

Doktor Augustin Allende opiekował się zdrowiem członków rodziny Santanów, odkąd Emilio mógł sobie przypomnieć. Pewne braki w wiedzy medycznej nadrabiał doświadczeniem, intuicją lekarską oraz dyskrecją i zrozumieniem wobec pacjentów.

Teraz też, choć już był właściwie na emeryturze, zgodził się natychmiast przyjąć Emilia z bratankiem i... krewną matki. W przylegającym do luksusowego domu gabinecie spotkali zażywnego siedemdziesięciolatka o siwej czuprynie. Wysłuchał ich cierpliwie, mierząc całą trójkę przenikliwym spojrzeniem zza grubych szkieł.

- Nie mamy pewności, co było przyczyną śmierci małego Roberta - powiedział wreszcie. - W tamtych czasach medycyna nie miała takich możliwości jak teraz, zwłaszcza w Peru. Byliśmy tylko świadkami, jak stopniowo tracił siły, aż odszedł we wczesnym dzieciństwie. Dopiero niedawno zapoznałem się z opisem glikogenozy typu IV, choroby genetycznej Andersen. Objawy takie jak moment rozwoju choroby, zanik mięśni i funkcji mózgu, odpowiadały dokładnie tym, które wystąpiły u biednego maleństwa.

Emilio zerknął na Grace. Zaciskała dłoń na drewnianym oparciu fotela, aż pobiełały jej palce. Drugą ręką przytrzymała na swych kolanach Zaka, błogo nieświadomego jej lęku.

- Od razu wezwałem Artura - ciągnął doktor. - Ponieważ wiedziałem o jego matrymonialnych planach, zaleciłem badania pod tym kątem. Jak wiemy, do niczego nie doszło. A teraz okazuje się, że pozostawił potomka... Chciałbym panią uspokoić - zwrócił się do Grace. - Oczywiście, zbadamy chłopczyka. Ale trzeba pamiętać, że schorzenie to jest niezwykle rzadkie. Gen odpowiedzialny za nie jest recesywny, więc żeby wystąpiło, musieliby go dostarczyć oboje rodzice.

Grace zauważyła, że mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Doktor mówi o tym - chrząknął Emilio - że moi rodzice byli blisko spokrewnieni.

- Jeśli dobrze rozumiem - zmarszczyła brwi Grace - Roberto dziedziczył chorobę, bo matka i ojciec byli nosicielami wadliwego genu. Ale przecież Arturo i Emilio są zdrowi...

- Po prostu mieli więcej szczęścia. - Doktor zaczął szkicować na kartce schematy dziedziczenia. - Proszę spojrzeć. Każde z rodziców mogło przekazać gen choroby lub normalny gen. To jak loteria albo raczej rzut dwiema monetami. Tylko kombinacja dwóch szkodliwych genów powoduje chorobę, jakby wypadły dwie reszki naraz. Kombinacja orzeł-reszka lub reszka-orzeł, czyli jeden gen zły i jeden normalny choroby nie daje, ale dziecko będzie nosicielem złego genu. I wreszcie najlepsza sytuacja, orzeł-orzeł, czyli gdy dziecko dziedziczy dwa normalne geny i problem znika całkowicie.

- Czyli, jeśli Arturo sam nie był chory - dociekał Emilio - zostają dwie szanse na trzy, że był nosicielem genu choroby.

- Zgadza się. - Allende znów pokiwał głową. - A jeśli był nosicielem, jest kolejne pięćdziesiąt procent szansy, że przekazał gen synkowi. Lecz jeśli jego matka nie miała tego obciążenia, a przeciwna możliwość jest naprawdę znikoma, to chłopiec powinien być bezpieczny. Poza tym wszystkim mogę się w ogóle mylić co do mojej diagnozy wobec Roberta. A wtedy wszystko, co zostało powiedziane, nie ma znaczenia, i co więcej, nie dotyczy w ogóle Zaka.

- Istnieje jednak szansa, że Zak jest nosicielem chorobotwórczego genu, podobnie jak ja - rzekł w zamyśleniu Emilio. - Dlatego obaj powinniśmy być zbadani.

- Słusznie. - Doktor poprawił okulary. - Mamy nowe laboratorium w stolicy zajmujące się takimi badaniami genetycznymi. Wystarczy, że pobiorę od was próbki DNA i wyślę je tam. Rozumiem, że pośpiech jest wskazany.

- Owszem. - Emilio skinął głową. - Koszt nie gra roli.

Allende pobrał wacikami dwie próbki i zapieczętował je w pojemnikach.

- Wysyłam je jutro priorytetem - oznajmił. - W ciągu tygodnia powinny być wyniki. Wówczas od razu dam państwu znać telefonicznie. Na razie proszę się nie niepokoić. Szanse, by coś było nie tak, są naprawdę bliskie zeru.

- „Naprawdę”, to bardzo miłe słowo. - Grace uśmiechnęła się z wdzięcznością. Emilio również podziękował mu za szybką pomoc w ich

sprawie.

- Do widzenia państwu - skłonił się Allende. - Poznałem pani siostrę przyrodną, panno Chandler. Arturo przyprowadził ją, bo miała gorączkę. Pobrałem jej próbkę krwi, bo podejrzewałem malarię, ale nie było to aż tak poważne. Cudowna kobieta. Bardzo pani współczuję z powodu jej straty.

- Doktorze. - Grace odwróciła się, będąc już w drzwiach. - Co, jeśli z laboratorium przyjdą złe wieści? Co, jeśli Zak ma chorobę Andersen?

Lekarz zawahał się przez moment.

- Jak mówiłem, szanse są niemal zerowe. Proszę iść do domu i w ogóle nie myśleć o takiej możliwości.

W drodze do samochodu Grace nie odezwała się słowem, lecz gdy usadzili malca w foteliku i sami wsiedli, skuliła się i zadrżała.

- Grace. Słyszałaś, co mówił doktor. - Emilio dotknął jej ramienia. - Zak jest zdrowy, to prawie pewne.

- Owszem, słyszałam - odpowiedziała, nerwowo zaplatając dłonie. - Wiem też, czego nie powiedział. Że na taką chorobę nie ma lekarstwa. Jeśli zachoruje, nie będzie można go uratować. Odejdzie, jak Roberto.

Z trudem powstrzymała łzy. Emilio nie wiedział, co powiedzieć. Czy powinien próbować skłonić ją do bardziej racjonalnego podejścia? Przekonywać, że jest przewrażliwiona, a małemu nic nie będzie? Nie, to bezcelowe. W jej oczach dostrzegał prawdziwą matczyną troskę, instynktowną i silniejszą niż chłodne rozumowanie. Nie miała wpływu na to, czy Zak będzie zdrowy, czy nie, i poczucie bezsilności doprowadzało ją do desperacji.

Mógł zrobić tylko jedną sensowną rzecz. W milczeniu wziął ją w ramiona. Natychmiast przyłgnęła do niego, wstrząsana szlochem.

- Już dobrze, Grace - szeptał, gładząc ją po plecach. - Wiem; że jesteś przerażona. Ale cokolwiek się stanie, będziemy razem. I poradzimy sobie. Zawsze będę przy tobie. Będę czuwał nad tobą i Zakiem.

Długo się wahał, w jaki sposób ma przedstawić jej swoje zamiary. Teraz, kiedy tuliła się do niego, drżąc i autentycznie przerażona, odnalazł właściwe słowa. Ta kobieta i ten mały chłopiec - to była jego rodzina.

- Przepraszam cię - powiedziała Grace przez łzy. - Pewnie sobie myślisz, że jestem głupią histeryczką. Ale nie mogę przestać myśleć o tym, jak bardzo musiał cierpieć mały Roberto. - Wzięła głęboki oddech. - Nie potrafię sobie wyobrazić, przez co musiała przechodzić twoja matka.

Emilio przytulił ją mocniej. Śmierci brata nie mógł pamiętać. Za to dobrze przypominał sobie, jak matka topiła troski w alkoholu. Dziwne, że dotąd nie kojarzył tego nałogu z rodzinną tragedią.

- Poradzimy sobie - powtórzył, nie wypuszczając jej z objęć. - Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, co powiedział doktor. Nie powinniśmy o tym myśleć za wiele, dopóki nie będzie wyników.

- Wiem - westchnęła. - Zgadzą się. Jeśli nie będzie konieczności, możemy do tego tematu w ogóle nie wracać, dobrze?

- W porządku. - Ścisnął jej ramię. - Najważniejsze, to przetrwać ten tydzień.

- Dni wlokły się niemiłosiernie. Tydzień dobiegał końca, gdy Emilio pojawił się nagle w pracowni Grace. Wyraz jego twarzy sprawił, że ołówek, którym rysowała, wypadł jej z palców.

- Dzwoniła asystentka doktora Allende - potwierdził jej przeczcucie. - Przyszły wyniki testów i doktor chce z nami rozmawiać. Osobiście.

- Czy powiedziała coś na temat wyników? - spytała bez tchu.

- Wspomniała tylko, że nie ma konieczności, żebyśmy zabierali Zaka ze sobą.

- Czyli wyniki powinny być dobre, prawda?

- Oczywiście. Też tak pomyślałem.

- Ale dlaczego wobec tego nie przeczytano nam ich przez telefon?

- Doktor chce porozmawiać z nami obojgiem. Tak powiedziała pielęgniarka. Rozmawiałem już z Eugenią, by zajęła się małym. Możemy zaraz ruszać.

Emilio obserwował Grace, gdy zasiedli ponownie w gabinecie lekarza. W drodze niemal się nie odzywała, teraz jej napięcie sięgnęło zenitu. Było widać, jak drży.

Allende wkroczył do pokoju z tekturową teczką w dłoni i, powitawszy ich, zasiadł za biurkiem.

- Wiem, że są państwo bardzo niespokojni o wyniki badań - rzekł. - Od razu więc powiem, że zarówno Emilio, jak i chłopiec są zdrowi. Emilio, wygrałeś ten „rzut dwiema monetami”: nie masz genu choroby Andersen.

- A jak jest z Zakiem? - wyszeptała wciąż krańcowo przejęta Grace.

- Chłopiec jest zdrowy, droga pani. Ani śladu wadliwego genu.

Grace opadła głębiej w fotel, na którego brzeжку dotąd siedziała.

- Dlaczego więc wezwał nas pan tutaj, zamiast powiedzieć nam to przez telefon? - spytał Emilio.

Doktor otworzył teczkę.

- Z testów wynikło coś innego. Struktura DNA chłopca została porównana z twoją, Emilio. Nie ma absolutnie żadnego podobieństwa. Nie chcę cię martwić, Emilio, ale Zak nie mógł być dzieckiem twojego brata. W ogóle nie jest spokrewniony z rodziną Santanów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Co takiego?! Szok pozbawił Grace tchu. Nie śmiała spojrzeć na Emilia. Bała się, że wpadnie w gniew. Gotów pomyśleć, że okłamywała go, w sobie wiadomym celu.

- Nic nie rozumiem. - Jego głos był głuchy, pozbawiony wyrazu. - Przecież widziałem w akcie urodzenia chłopca wzmiankę, że jego ojcem jest Arturo Santana.

- To wszystko przeze mnie. - Grace z trudem wydobyła z siebie głos. Musiała powiedzieć prawdę, choć mogła go przez to stracić. - Ja zgłaszałam urodzenie Zaka w urzędzie. Cassidy była na to o wiele za słaba. Podałam personalia Artura, bo założyłam, że to on jest ojcem. Nie chciałam wpisać „ojciec nieznany”, choć zdawałam sobie sprawę, że ułatwiłoby to ewentualne starania o adopcję. Uznałam, że Zak ma prawo wiedzieć, czym jest synem.

- Czy Cassidy powiedziała ci, że Zak jest synem Artura? - spytał Emilio cicho, głosem napiętym jak cięciwa łuku.

- Nigdy nie powiedziała, że to nie on. - Grace rozłożyła ręce. - I nie wspomniała o kimkolwiek innym. Widziałeś list brata, Emilio. Nawet Arturo był przekonany o swoim ojcostwie.

- A może był zbyt dumny, by przyznać, że nie jest pewien?

Grace przypomniała sobie oschły list Artura, w którym podkreślał, że syn Cassidy Miller nie może rościć sobie praw do majątku Santanów. Czyżby podejrzewał, że Zak nie jest jego dzieckiem?

Doktor uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Z mojej strony to wszystko. Widzę, że muszą państwo poradzić sobie sami z tą kwestią i znaleźć właściwe rozwiązanie.

Właściwe rozwiązanie? Grace z trudem podniosła się z krzesła. Miała wrażenie, że ziemia osuwa jej się spod nóg. Czy w tej sytuacji możliwe było jakiegokolwiek „właściwe rozwiązanie”?

Wciąż oszołomieni, podziękowali doktorowi i poszli do samochodu. Grace opadła na siedzenie i ukryła twarz w dłoniach.

- Tak mi przykro - wydusiła przez łzy. - Przepraszam cię...

Emilioniowi ścisnęło się serce.

- Nie płacz - powiedział łagodnie. - Nie masz się o co obwiniać. I na pewno nie musisz mnie przeproszać. Przecież to ja pojawiłem się nagle na twoim progu, żądając, żebyś oddała mi Zaka.

- Myślałeś, że jest synem twojego brata - powiedziała, jakby próbując go usprawiedliwić. Pomyślał, że nigdy jeszcze nie spotkał bardziej wielkodusznej osoby.

- Co teraz zrobimy? - wyszeptała.

- Nie wiem, coś wymyślimy. - Wziął ją za rękę. - Wiem jedno: nie chcę

stracić ani ciebie, ani Zaka.

- Teraz tak mówisz. - Cofnęła się, a w jej oczach dostrzegł ból. - Ale przecież przyjechałeś po Zaka, bo chciałeś przywieźć do Urubamby dziedzica, a ten chłopiec nim nie jest. W jego żyłach nie płynie krew Santanów.

Emilio milczał przez chwilę.

- To prawda - odezwał się wreszcie. - Ale przecież dziedzica można jeszcze na ten świat sprowadzić. Kiedyś myślałem, że nigdy nie zdecyduję się na małżeństwo i dzieci, ale przy tobie zmieniłem zdanie. Pobierzmy się. Urodzisz Zakowi braciszka albo siostrzyczkę, a Urubamba doczeka się dziedzica.

Grace pobladła, gwałtownie pokręciła głową. Usta jej drżały.

- Nie mogę dać ci dziecka - powiedziała z trudem. - Pamiętasz, jak ci opowiadałam o moim wypadku? Koń zmiądzzył mi miednicę. Kości się zrosły, ale narządy rodne... musiały zostać usunięte. Przeprowadzono histerektomię. Jestem bezpłodna. Sterylna jak krzemień.

Emilio długo szukał słów, którymi mógłby ją pocieszyć. Nie znalazł żadnych.

Cisza, która zapadła w samochodzie, była ciężka jak ołów.

- Kocham cię - powiedział wreszcie. W jego głosie pobrzmiwała bezradność. - Wiem, że to kiepski moment na takie wyznanie. Nie mam pojęcia, jak wybrnąć z impasu, w którym się znajdujemy, ale tego jednego jestem pewien, Grace. Kocham cię.

- Ja też cię kocham. - Spojrzała na niego z powagą, a potem spuściła wzrok. - I właśnie dlatego powinnam zabrać Zaka i zniknąć z twojego życia.

- Nie. - Pokręcił głową z uporem. - Nawet tak nie mów.

- Emilio, otrzeźwiej. - Jej głos był rzeczowy, ostry jak cięcie skalpela. - Nie potrzebujesz bezpłodnej kobiety i obcego dziecka. Na pewno znajdziesz odpowiednią kandydatkę na żonę i ani się obejrzysz, a doczekasz się gromadki małych Santanów.

- Właściwa kandydatka?! Gromadka dzieci?! O czym ty mówisz, kobieto? - Gestem zdradzającym frustrację zanurzył palce we włosach. - Proszę cię, przestań. Nie chcę słuchać takich rzeczy.

- W porządku. - Ujęła jego rękę. - Myślę, że najlepiej zrobimy, jeśli damy sobie trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć. Póki co oboje jesteśmy w szoku i możemy powiedzieć coś, czego będziemy żałowali.

Musnął jej czoło delikatnym pocałunkiem. Kochał ją. Szczerze, prawdziwie i na zawsze. Tego przynajmniej był pewien w tym całym galimatiasie. Trzymał się tej pewności, chłonał ją, jak światło słońca po bardzo długiej nocy.

- Grace milczała. Nagle potrząsnęła głową, zaśmiała się cicho.

- Ech, ta Cassidy! Co ona wykombinowała?!

Emilio zaśmiał się również. Przez moment oboje wspominali piękną, eteryczną blondynkę o beztróskim uśmiechu i nieposkromionej pasji życia.

- Chyba nigdy się nie dowiemy. Bardzo lubiłem twoją siostrę, ale

„impulsywna” to za mało, by ją opisać.

- Cassidy kochała Artura. Wiem, bo mi o tym mówiła, a ona nie miała zwyczaju kłamać. Ale masz rację, z nią wszystko było możliwe.

Emilio nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy Arturo podejrzewał, że Cassidy go zdradziła. Jego brat, człowiek dumny i honorowy, nigdy nie powiedział ani słowa na ten temat. Nawet jeśli się domyślał, kto był ojcem Zaka, zabrał tę wiedzę do grobu.

Emilio musiał rozwikłać zagadkę sam.

Cassidy zjawiła się w Urubambie wraz z towarzystwem ze świata mody. Po trwającej cały weekend imprezie część osób wyjechała, także Emilio, lecz pojawiali się nowi, głównie znajomi brata. Cassidy pozostała, by spędzić jeszcze kilka tygodni z Arturem. Przez ten czas przez Urubambę przewinęło się co najmniej kilkunastu facetów. Każdy z nich mógł być sprawcą ciąży, bo Emilio nie wierzył, by którykolwiek pozostał obojętny na wdzięki Amerykanki. Poza podejrzeniami byli tylko jej dwaj koledzy po fachu, którzy nie interesowali się dziewczętami, tylko sobą nawzajem...

Pamiętał, że w tamten weekend był upał i Cassidy praktycznie cały czas spędzała nad basenem. Pławiła się w wodzie, opalała nad brzegiem, eksponowała swoje oszałamiające ciało w skąnym bikini... Wciąż widział jej smukłą sylwetkę z burzą płomiennych włosów, wciąż słyszał jej radosny, beztroski śmiech.

Każdy mężczyzna wodził za nią wzrokiem jak urzeczony. Każdy, kto kręcił się przy basenie...

Rozwiązanie zagadki uderzyło Emilia jak piorun.

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać, czy jego domysł jest słuszny. Musiał odnaleźć Pabla i zapytać go wprost. Chętny drań z pewnością chętnie się przyzna, jeśli to rzeczywiście on przespał się z piękną Amerykanką.

Jeszcze tego samego dnia Emilio wsiadł do samochodu i pojechał do pobliskiego miasteczka. Był o krok od poznania prawdy o biologicznym ojcu Zaka i nie mógł się teraz cofnąć.

Po dwudziestu minutach poszukiwań odnalazł właściwy dom. Tkwił na końcu uliczki, pomiędzy warsztatem samochodowym a sklepem z narzędziami. Chatka, na miejscową modłę wzniesiona z ubijanej gliny, była zadziwiająco czysta i zadbana. W oknach wisiały kolorowe firanki. Na podwórku stała nawet dziecinna huśtawka.

Zatrzymał się przed posesją i jeszcze raz sprawdził adres. To musiało być tu, choć spodziewał się, że dom piekielnych braci będzie przypominał melinę. Wsiadł z wozu i skierował się na ganek.

Drzwi otworzyła młoda kobieta. Była ładna, ale na twarzy widać było zmęczenie. Trzymała na rękach oseska, a do jej nóg tuliła się mała dziewczynka.

- Pan to pewnie Emilio Santana. - odezwała się. - Poznałam po samochodzie. Ale jeśli szuka pan moich braci, to zmartwię pana. Pablo i Fermin wyjechali za pracą do Limy.

Uśmiech dodawał jej uroku. Emilio przyznał w duchu, że cała trójka rodzeństwa jest niezwykle urodziwa.

- Właściwie to dobrze, że ich pan zwolnił - ciągnęła. - Należało im się. Teraz może zmadrzeją i poznają, co to prawdziwa praca. Przepraszam - zaśmiała się. - Nie przedstawiłam się. Na imię mam Maria. Emilio uściśnął jej drobną, spracowaną dłoń.

- Bracia z panią mieszkali?

- Tak, ze mną i z moim mężem. Mąż jest mechanikiem w warsztacie, tu obok. Kocham moich braci, ale, prawdę mówiąc, lepiej, gdy ich tu nie ma. Nie dokładali się do gospodarstwa, a zachowywali jak panowie i władcy.

Emilio zerknął na dzieci. Były śliczne, z dużymi ciemnymi oczami. Jeśli jego domysł był trafny, patrzył na kuzynów Zaka... Nie zamierzał jednak dalej ścigać piekielnych braci. Próba odnalezienia ich w Limie byłaby jak szukanie dwóch igieł w stogu siana.

Kierowany impulsem, sięgnął po portfel i wydobył plik banknotów.

- Przyszedłem, bo jestem im jeszcze winien zaległe wynagrodzenie - skłamał. - Niech więc pani je weźmie, skoro nie dokładali się do wydatków na dom. A jeśli pani mąż będzie szukał pracy, proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zaszedł. Zawsze przyda nam się dobry mechanik.

Brwi dziewczyny uniosły się, gdy pobieżnie przeliczyła banknoty.

- Ależ to za dużo...

- O, na pewno nie. Zarobiła to pani, dzieląc dach nad głową z tymi dwoma gagatkami.

Zostawił ją i odszedł do samochodu, zanim zdołała znów zaprotestować. Odjeżdżał zadumany. Przybył tu po odpowiedzi, tymczasem zamiast nich pojawiły się nowe pytania. Jakim cudem do rodziny, która wydała na świat takie pomioty jak Pablo i Fermin, mogła należeć również porządna, gospodarna Maria? Czy rzeczywiście pokrewieństwo jest głównym kryterium determinującym, kim jesteśmy? Czy taki pogląd nie jest przesadą?

Zanim wrócił do domu, zatrzymał się na cmentarzu, gdzie leżeli jego przodkowie. Kupił bukiet białych lilii i, zamyślony, ruszył alejką pomiędzy nagrobkami. Wyrósł w przekonaniu, że więzy krwi są tym, co porządkuje ludzkie sprawy. Ważna była rodzina i tradycja, wszystko inne traktował lekko. Jak zabawę.

A jednak, choć dowiedział się, że mały Zak nie ma w sobie ani kropli krwi Santanów, nie przestał go kochać. Chłopiec był mu bliski jak... jak syn. Czy geny miały znaczenie? Poważnie zaczynał w to wątpić. Jeśli usynowi chłopca, Zak będzie częścią rodziny. Jego historia wplecie się w historię Santanów.

Grace powiedziała kiedyś, że istnieją silniejsze więzy niż więzy krwi.

Grace... Pomyślał o jej pięknych oczach i o bezkompromisowej, hojnej miłości, jaką darzyła chłopca, który był synem jej siostry. Chciał zasłużyć na jej miłość. I chciał się takiej miłości od niej nauczyć.

Położył kwiaty na grobie matki i ruszył do wyjścia. Kiedy tylko przekroczył bramę cmentarza, wyjął z kieszeni telefon. Wiedział już, co zrobić. Wykręcił numer do zaprzyjaźnionego sędziego i zaczął pracować nad wcieleniem w życie swojego planu.

Zastał Grace w ogrodzie; przechadzała się aleją obsadzoną wysokimi, rozłożystymi modrzewiami, pchając wózek, w którym leżał uśpiony Zak. Ruszył ku niej powoli, nagle onieśmielony.

- Posłuchaj, Grace...

- Tak? - Podniosła głowę, a ciemnozłote włosy spłynęły jej na plecy.

- Kiedy pojawiłem się w twoim domu w Tuscon, byłaś w trakcie starań o adopcję Zaka.

- Tak. - Spojrzała na niego, zaskoczona.

- Wmieszałem się i uniemożliwiłem ci spełnienie twojego marzenia - mówił dalej.

- Tak, ale...

- Dzisiaj mogłem się przekonać, że w życiu nie wystarczy żądać i sięgać po swoje, bo los zawsze może wystrychnąć nas na dudka. Dlatego postanowiłem naprawić to, co zepsułem przez własną arogancję. Sędzia w Limie już czeka, wszystkie papiery są gotowe. Jeżeli zechcesz, jeszcze dziś możesz wobec prawa stać się matką Zaka Millera. Zostanie orzeczone pełne przysposobienie, chłopiec będzie odtąd nosił nazwisko Chandler.

- Jeżeli chcę? - Spojrzała na śpiącego chłopca. Ciemne wachlarzyki rzęs ocieniały rumiane policzki, usta miał lekko rozchylone, jakby w bezwiednym uśmiechu. - Wiesz, jak bardzo tego pragnę.

- Zatem sprawa załatwiona. Nie musimy nawet jechać do stolicy, papiery przyjdą pocztą. Kiedy je podpiszesz, Zak będzie twoim synem.

- Dlaczego to robisz? - Zamrugła, żeby powstrzymać łzy, które wzbierały pod jej powiekami. Co się z nią działo? Dawniej właściwie nigdy nie płakała, a odkąd przyjechała do Urubamby, zamieniła się w istną beksę.

- Dlaczego? - Ujął jej ręce i zamknął w swoich dłoniach. - Bo zabija mnie myśl, że mogłaś przeze mnie cierpieć. Bo ponad wszystko chciałbym dać ci szczęście, a wiem, jak bardzo kochasz to dziecko. Wreszcie dlatego, że zamierzam poprosić cię o rękę. Chcę poślubić niejaką Grace Chandler, matkę Zaka Chandlera. Kiedy uklęknę przed tobą i spytam, czy zostaniesz moją żoną, zdecydujesz, czy do szczęścia wystarczy ci dziecko, czy też chciałabyś mieć u swego boku mężczyznę, który będzie kochał was oboje.

Spojrzała w jego poważne, ciemne oczy. Nadal uważała, że mają dokładne tę samą barwę co oczy Zaka.

- Po co czekać na jakieś papiery? - powiedziała lekko, a kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu. - Możesz poprosić mnie o rękę teraz, Emilio Santana.

Rzeczywiście, po co czekać? Jak stał, rymnął na kolana. Ponad jej głową widział dalekie szczyty Andów, złociste w słońcu, niczym wspaniała, królewska korona.

- Wyjdź za mnie, Grace - poprosił żarliwie. - Wyjdź za mnie, połącz swój los z moim. Pozwól, żeby mój dom stał się twoim domem. Pozwól mi zostać ojcem dla twojego syna.

Skinęła głową i w następnej chwili znalazła się w jego ramionach.

- Tak - wyszeptwała, muskając jego ucho wargami drżącymi od uśmiechu. - Tak, wyjdę za ciebie. Nawet dzisiaj, jeżeli ten sędzia winien ci jest jeszcze jedną przysługę i można załatwić to korespondencyjnie.

- Ze ślubem możemy poczekać. - Objął ją w talii. - Wszystko urządzimy tak, jak chce tradycja. Zaczniemy od tego, że kupię ci bardzo niepraktyczny pierścionek z brylantem wielkości kostki cukru.

- Ani mi się waż. Pierścionek ma być ładny i praktyczny, bo chcę móc go nosić przez najbliższe pięćdziesiąt lat...

Zamknął jej usta pocałunkiem, czułym i uroczystym jak obietnica. A potem wziął ją za rękę i poprowadził ku domowi. Idąc, razem pchali przed sobą wózek ze śpiącym dzieckiem. Byli rodziną i nic nie mogło tego zmienić.

- Połączyła ich miłość - najsilniejsza z więzi.